

Charles Tritten  
Heidi dorasta

Tom

Całość w tomach

Zakład Nagrań i Wydawnictw

Związku Niewidomych

Warszawa 1995

Przekład: Joanna Kazimierczyk

Tłoczono pismem punktowym

3 3 64 0 0 108 1 ff 1 74 1  
w Drukarni Zakładu Nagrań

i Wydawnictw Związku  
Niewidomych.

Przedruk z wydawnictwa:

"Novus Orbis", Gdańsk 1992.

Pisała K. Kruk

Korekty dokonały

B. Krajewska

i K. Pabian

`tt

I. Szkoła w Rosiaz

Rozdział I

Szkoła w Rosiaz

Pewnego wieczoru, około godziny dziewiętej, na dworcu w Lozannie wysiadła z pociągu drobna, nieśmiało wyglądająca dziewczynka. Przystanęła na chwilę i rozejrzała się dokoła oszołomiona. U jej stóp stała walizka i zwinięty w rulon pled, a pod pachą trzymała futerał ze skrzypcami. Heidi - bo tak miała na imię - przyjechała z małej wioski Dorfli położonej wysoko w Alpach.

Mieszkał tam w starym domu jej dziadek wraz z doktorem. Obaj pragnęli, aby Heidi zakończyła edukację w dobrej szkole. Została więc wysłana - kosztem wielkich wyrzeczeń - na modną pensję, którą ukończyła właśnie jej przyjaciółka Klara. Podróżowały dotąd razem i gdy pociąg jeszcze sapał i dyszał

parą, Klara wychyliła się z okna i uśmiechnęła. Była tak świetnie zorientowana w szkolnych sprawach, że Heidi gorąco pragnęła, aby przyjaciółka pozostała z nią jeszcze jeden semestr. Być może starsza dziewczynka odgadła te myśli, bo ze wszystkich sił starała się być pogodna i mówiła tak głośno, by zagłuszyć hałas lokomotywy.

- Zobaczysz, że będzie tam bardzo wesoło! - wołała radośnie. - Lekcje tańca i różne inne rzeczy. Ciekawa jestem, czy będzie cię uczył Monsieur Lenoir, niezwykle elegancki i uprzejmy. "Lekko, moje panienki, lekko i z wdziękiem" - tak zawsze do nas mówił. "Lekko i z wdziękiem" - powtórzyła. - Heidi, nie masz pojęcia, jak mi było przyjemnie tańczyć lekko i z wdziękiem. Ty nie musiałaś tego się uczyć - dodała. - Ty zawsze tańczyłaś.

- Ale nie zawsze grałam na skrzypcach - odrzekła Heidi.

- Będziesz uwielbiać Monsieur Rochata - ciągnęła Klara z entuzjazmem. Pod pewnym względem przypomina doktora, pod innym zaś dziadka. Ma takie same krzaczaste brwi.

Heidi aż podskoczyła z radości i oczami wyobraźni ujrzała nauczyciela muzyki.

- Mademoiselle Raymond też jest bardzo miła - mówiła dalej Klara. - Zresztą w szkole wszyscy są mili, chociaż niektóre osoby mogą na początku wydać ci się bardzo surowe. No i nie zapomnij pozdrowić ode mnie Mademoiselle Larbey!

W tej chwili zauważyła spieszącą w ich stronę wysoką i bardzo z angielską wyglądającą kobietę.

- Ach, Miss Smith! - zawołała, gdy nauczycielka podeszła. - Dobry wieczór. Jak się pani miewa? Oto moja przyjaciółka Heidi. Jak pani widzi, czuje się trochę nieswojo, ale to tylko tak na początku. Przyjechała aż

z Dorfli, która jest jeszcze za Mayenfeld. Och, pociąg już rusza! - krzyknęła, gdy wagon szarpnął z nienacką. - Do widzenia, Heidi! Napisz do mnie niebawem. Do widzenia! Do widzenia!

Miss Smith machała urękawiczoną dłonią, dopóki pociąg nie znikł im z oczu. Heidi stała nieruchomo, mocno przyciskając skrzypce. Gdy odjechała Klara - ostatnia więź z domem - poczuła się samotna i opuszczona.

Angielka zwróciła się do niej.

- A więc jesteś tą nową uczennicą, przyjaciółką Klary. Bardzo często opowiadała o tobie i twoim dziadku, a także o Piotрку - Koźlarzu i doktorze, który przyjechał z Frankfurtu, by zamieszkać w Dorfli. To musi być ładna wioska.

- To jest mój dom - odrzekła Heidi z prostotą.

- Wkrótce szkoła stanie się twoim domem - zapewniła nauczycielka. - Wszystkie nasze dziewczynki są bardzo zadowolone. Lekcje nie sprawiają ci trudności. Czy mówisz trochę po francusku?

- W Dorfli nie uczą francuskiego - odpowiedziała Heidi. - Ale doktor dawał mi lekcje w domu.

- Doskonale! Na pewno sobie poradzisz.

Miss Smith skierowała się do wyjścia, za nią ruszył bagażowy z rzeczami Heidi.

- Pojedziemy dorożką. Szkoła znajduje się w Rosiaz, niedaleko Lozanny, ale zapewne wiesz o tym od Klary.

- Oui, Mademoiselle - odrzekła uprzejmie Heidi przekonana, że od tej chwili powinna mówić po francusku.

- Ja jestem Miss Smith i tak się musisz do mnie zwracać -

wyjaśniła nauczycielka. -  
Postaraj się wymawiać th w  
Smith, umieszczając język między  
zębami. Uczennice mają irytującą  
manierę nazywania mnie "Miss  
Miss", ponieważ nie chcą sobie  
zadawać trudu, by wymawiać  
prawidłowo moje nazwisko. Mówiąc  
to, pomogła Heidi wejść do  
dorożki i usiadła obok niej.

Kiedy jechały drogą, zielone  
pola przypomniały Heidi zieleń  
alpejskich zboczy i dziadka,  
samotnego w chacie pośród jodeł.  
Pocieszała się myślą, że nie  
pozostanie on długo w górach.  
Gdy spadnie śnieg, zejdzie jak  
zwykle w dolinę i zamieszka z  
doktorem w Dorfli. Ten niegdyś  
zgorzkniały Halny Stryjek, stał  
się teraz drogi sercom swych  
sąsiadów, po tym jak troskliwie  
zaopiekował się sierotą. Jako  
małe dziecko, Heidi została  
dosłownie podrzucona dziadkowi  
przez ciotkę Detę, kiedy tej  
trafiła się dobra posada i  
uznała, że opieka nad dzieckiem  
siostry to zbyt wielki kłopot.  
Heidi na chrzcie otrzymała po  
matce imię Adelajda, ale nikomu  
nigdy nie przyszło do głowy,  
żeby ją tak nazywać. Wyjątkiem  
była panna Rottenmeier, w czasie  
gdy dziewczynka mieszkała u  
Klary we Frankfurcie. Teraz  
miała nadzieję, że nikt z  
nauczycieli w Rosiaz nie będzie  
do niej podobny. Miss Smith  
była zdecydowanie inna; starała  
się być miłą i rozmowną. Heidi  
siedziała w kącie dorożki,  
słuchając tylko jednym uchem  
słów nauczycielki. Ta zaś  
przeskakiwała z tematu na temat  
w błyskawicznym tempie. Jej  
przodkowie... jeden chyba  
pochodził z Mediolanu...  
Mademoiselle... dyrektorka - tak  
dobra, lecz surowa... Klara...  
Mops... nieprzerwany potok  
pocziwej gadaniny, który  
całkowicie oszołomił biedną  
Heidi.

- Mops tak lubi się pieścić,  
Mademoiselle bardzo go polubi.  
Nigdy jeszcze nikogo nie ugryzł  
- zakończyła Miss Smith  
nieoczekiwanie akurat wtedy, gdy  
Heidi zaczęła myśleć, że "Mops"  
to raczej dziwne nazwisko jak na

profesora.

- Och, to jest kot! - zawołała i uśmiech zrozumienia rozjaśnił jej buzię. - Tak się cieszę, że jest tam kot! U Klary miałyśmy kocięta.

Wreszcie dojechały do szkoły "Pod Głogami" i Heidi, wciąż oszołomiona długą podróżą, gadatliwością Miss Smith i obcością otoczenia, znalazła się w obszernym salonie, gdzie powitała ją bardzo dostojna dama w wieku około pięćdziesięciu lat.

Mimo surowego wyglądu dama przemówiła ciepło i życzliwie.

- Witaj w szkole "Pod Głogami" Heidi. Bardzo się cieszymy z twojego przyjazdu do nas. Mam nadzieję, że miałaś przyjemną podróż i że będziemy mieć z ciebie tyleż pociechy co z Klary. Czy jesteś głodna? Louise, nasza kucharka, przygotowała trochę zimnego mięsa i owoce. A co tam trzymasz pod pachą? Ach, to skrzypce. Twój dziadek pisał mi, że uczyłaś się grać. Zdaje się, że to go bardzo cieszyło. Teraz będziesz pod dobrą opieką na lekcjach muzyki.

Dama zwróciła się do angielskiej nauczycielki. - Miss Smith proszę zaprowadzić Heidi do jej pokoju i sprawdzić, czy ma wszystkie niezbędne rzeczy. Dobranoc, Heidi. śpij dobrze. Dzwonek obudzi was o siódmej.

- Dobranoc - powiedziała posłusznie Heidi.

- Powinnaś powiedzieć: "dobranoc Mademoiselle" - poprawiła ją natychmiast dyrektorka.

Heidi powiodła wzrokiem od jednej obcej twarzy do drugiej. Miss - do nauczycielki angielskiego, Mademoiselle - do dyrektorki! A w domu uczono ją, że do dyrektorki mówi się Fraulein. Czy kiedyś potrafi się w tym wszystkim połączyć?

Zmieszana i zmęczona, podażyła za Miss Smith przez długi hall. Sypialnia, którą miała dzielić z Angielką Eileen, znajdowała się na drugim piętrze. Mijane pokoje były zamknięte i panowała w nich cisza. Zdawało się, że wszyscy już śpią.

- Idź ostrożnie, żeby nie zbudzić dziewcząt. Swoje rzeczy możesz rozpakować jutro. A teraz chodźmy do jadalni.

- Dziękuję, nie jestem głodna  
- powiedziała Heidi.

- Zjesz mięso i owoce, tak jak to poleciła dyrektorka - oświadczyła stanowczo Miss Smith.

Kiedy Heidi skończyła kolację, poszły na górę do sypialni. Heidi rozejrzała się wokoło i w półmroku zobaczyła dwa drewniane łóżka, dwie umywalki, dwie szafy, jeden stół, dwa krzesła - wszystko lśniące bielą. Pokój wydawał się przytulny i wygodny. Lecz gdy tylko zamknęły się drzwi za Miss Smith, Heidi poczuła, że ogarnia ją fala tęsknoty za domem. Mimo całej odwagi w oczach dziewczynki zalśniły łzy. Podeszła do okna i ostrożnie otworzyła okiennice.

- Och! - wykrzyknęła impulsywnie. - Jezioro! Góry!

Wszystko było pogrążone w spokoju, w takim spokoju, że przypominało jej rodzinne strony. Okrągły księżyc toczył się po niebie i pozostawiał złocistą ścieżkę na wodzie. Heidi otarła oczy. Już pokochała to jezioro i czuła się pokrzepiona jego widokiem.

Drzwi otworzyły się niemal bezszelestnie i do pokoju zajrzało sześć ciekawych główek.

- Wejdźcie, jestem Heidi - powiedziała szeptem. - Jak się nazywacie?

Cała szóstka, stąpając na palcach weszła do środka i ciemnowłosa dziewczynka wysunęła się do przodu, by przedstawić

pozostałe.

- To jest Ewa Müller z Hamburga - wskazała jasnowłosą Niemkę. - Jest najwyższa z nas i dlatego wszystkie ją poważamy. Słowa te wypowiedziała z komicznym grymasem i jednocześnie przyciągnęła ku sobie kolejne dwie dziewczynki. - Edith i Molly, serdeczne przyjaciółki, które razem przybyły tu z Anglii; za nimi stoi Jeanne Marie, Węgierka... Nazwałyśmy ją Jamy, bo to lepiej pasuje do małej figurki. Tu zaś jest Mademoiselle Anna de Fauconnet. Jeden z jej przodków, Gaeton, wraz ze świętym Ludwikiem brał udział w bitwie pod Issus, sześćdziesiąt wieków przed Chrystusem.

- Och, Lizo! Mój przodek nie nazywał się Gaeton, nie walczył pod Issus sześć tysięcy lat przed Chrystusem. Jak możesz coś takiego opowiadać! - zaprotestowała Anna ze śmiechem. Nie czuła się obrażona, gdyż dawno odkryła, że nieustanne żarty jej współlokatorki są pozbawione cienia złośliwości.

- A jeśli chodzi o mnie - ciągnęła dalej Liza - to jestem Liza Brunet, Szwajcarka, daleka krewna dyrektorki. Wcale mnie z tego powodu nie kocha bardziej od innych. Kiedy zjawi się Eileen, będziemy w komplecie. No, a teraz mów o sobie.

W kilku słowach Heidi opowiedziała im o życiu z dziadkiem wysoko w Alpach i o miesiącach spędzonych u Klary we Frankfurcie.

- Dyrektorka szkoły w Dorfli bardzo interesowała się moimi lekcjami muzyki. Niestety wyjechała. Nowy dyrektor nie miał głowy do uczenia mnie gry na skrzypcach. Był surowy i nieprzystępny. Pragnął jedynie nauczyć dzieci czego należy i utrzymać je w posłuszeństwie. Dziadek widział, że źle się czuję w takiej szkole. Razem z doktorem, moim ojcem chrzestnym, postanowili wysłać mnie do Lozanny, bym mogła brać lekcje u



dobrego profesora. Początkowo nie chciałam wyjechać i pozostawić ich samych, ale uznali, że to dla mojego dobra. Bardzo troszczą się o mnie.

- My też będziemy dla ciebie dobre - zapewniła Liza. - Ale teraz wracamy do łóżek. Zobaczymy się jutro.

Jedna za drugą dziewczęta wymknęły się z pokoju. Jamy wychodząc ostatnia, uśmiechnęła się do nowicjuszek tak słodko, że ta zapomniała o tęsknocie za domem i znowu poczuła się szczęśliwa. Szybko się rozebrała i uklękła przy łóżku do wieczornej modlitwy.

- "Dobry Boże, dzięki Ci za wszystko! Dziękuję, że mnie tu sprowadziłeś - to było wszystko, co mogła w pierwszej chwili powiedzieć. Potem dodała cichutko. - Pomagaj mi, proszę, w mej pracy tutaj, żeby dziadek mógł być ze mnie dumny. I proszę cię Boże, opiekuj się nim i doktorem, i dobrym pastorem, i jego żoną, i wszystkimi we wsi Dorfli. Uczyń dyrektora szkoły dobrym a dzieci szczęśliwymi. Błogosław kochaną babcię w niebie i opiekuj się szczególnie Brygidą i Piotrkim, kozim generałem. Nie pozwól, żeby Turek go pobódnął i nie pozwalaj mu podchodzić zbyt blisko krawędzi skał. I opiekuj się Szczygiełką i śnieżulką, i Białaską, i Buraską"...

I tak wymieniała jedno za drugim imiona kóz, dopóki się nie zmęczyła, i nie ułożyła do snu.

## II. Lekcja gry na skrzypcach

### Rozdział II

#### Lekcja gry na skrzypcach

Słońce przenikając przez szczeliny okiennic, obudziło Heidi, zanim zadzwonił dzwonek. Nastąpił dzień wypełniony zarówno miłymi jak i przykrymi wydarzeniami.

Poznała nauczycielkę francuskiego, Mademoiselle Raymond - bardzo wysoką, chudą i krótkowzroczną. Pod szyją miała sztywny, wysoki kołnierzyk, a włosy upięte były w węzeł na czubku głowy. Z tyłu suknię ozdobił rząd guzików, przypominających małe chrząszcze. Mademoiselle Raymond zatrzymała się, by popatrzeć na Heidi i powiedziała półgłosem:

- Jestem bardzo surowa, zwłaszcza w ocenie dyktand. Twoja przyjaciółka Klara uczyła się dobrze, wręcz doskonale.

Heidi ogarnął lęk, że nie zdoła dorównać Klarze, o której w szkole wszyscy wyrażali się tak pochlebnie. Umocniła się w tym przekonaniu po rozmowie z Fraulein Feld.

- Dzień dobry, Heidi! Mam nadzieję, że stworzymy szczęśliwą rodzinę i będziesz taka wesoła i kochana jak twoja przyjaciółka. Klara miała wyjątkowo pogodne usposobienie.

Powiedziała to przede wszystkim po to, żeby Heidi zrozumiała znaczenie właściwego zachowania. Prywatnie Fraulein Feld poczuła szczerą sympatię do tej prostej, wiejskiej dziewczynki, z dwoma długimi warkoczami, ubranej w skromną, bawełnianą sukienkę.

Jak przyjmą ją w klasie koleżanki? Wszystkie pochodziły z dobrych i zamożnych rodzin. Fraulein Feld nie miała zwyczaju obnażania swych uczuć, wrzuciła więc tylko ramionami i powiedziała głośno - no cóż, zobaczymy...

Tego pierwszego przedpołudnia

Heidi zrobiła pięćdziesiąt dwa błędy w dyktandzie, wobec którego Mademoiselle miała tak surowe wymagania. Nie zrozumiała jednego polecenia w sali gimnastycznej i podczas obiadu zaplamiła obrus.

Mademoiselle Larbey, dyrektorka, obrzuciła ją bardzo surowym spojrzeniem.

- Nie mieszkamy na wsi - powiedziała. - Musisz się nauczyć zachowywać przy stole jak należy.

- Proszę o wybaczenie, Mademoiselle - odezwała się Heidi. - To był nieszczęśliwy wypadek.

- Nie odpowiadaj, kiedy ci zwracam uwagę. To jest impertynencja - pouczyła dyrektorka.

Heidi, która wcale nie miała zamiaru być niegrzeczna, usiadła zmieszana.

Mademoiselle Larbey dodała zaś: - Po południu pójdziecie z Miss Smith na przechadzkę. O wpół do piątej, kiedy przyjedzie Eileen, zbierzemy się w klasie i przeczytam wam regulamin szkoły. Bądźcie szczególnie dobre dla Eileen, dziewczęta. Jej ojciec niedawno zmarł, a matka choruje.

Po spacerze Heidi poszła do swego pokoju. Zastała w nim Eileen, nową uczennicę, pośród stosów sukien, kapeluszy, bucików, książek, rękawiczek i walizek.

- Jak się masz Eileen. Jestem Heidi, twoja współlokatorka.

- Dzień dobry - odpowiedziała sztywno Eileen, nie podnosząc głowy.

- Może ci pomóc poukładać rzeczy? - ofiarowała się Heidi, pamiętając, że dyrektorka poleciła im życzliwie traktować Eileen.

- Nie, dziękuję ci. Wolałabym mieć pokój tylko dla siebie. Czy

nie możesz poprosić o zamianę? -  
zapytała wyniośle.

- Obawiam się, że to  
niemożliwe - odparła Heidi. -  
Pozostałe dziewczynki są tu  
dłużej ode mnie. Wszystkie już  
mają swoje współlokatorki.

- Jakież to irytujące! -  
Eileen odwróciła się plecami,  
aby rozpakować kolejną walizkę.

Na balkonie Heidi spotkała  
Jamy, Lizę, Annę i Ewę.

- Eileen przyjechała -  
ogłosiła.

- Tak? A jaka ona jest? -  
spytała Liza.

- Wysoka, szczupła, ma bardzo  
czarne włosy i zielone oczy.

- Czy jest miła? -  
zainteresowała się Jamy.

- Idź i przekonaj się sama, a  
potem mi powiesz, co o niej  
myślisz - odrzekła Heidi.

Wszystkie cztery dziewczynki  
zniknęły za wysokimi drzwiami  
prowadzącymi do pokoju.

- Witaj, Eileen! - powitały ją  
chórem.

- Och, witajcie! Dlaczego mam  
dzielić pokój z tą małą  
wieśniaczką? - zawołała  
gniewnie.

- Ależ to jest Heidi! -  
zaprotestowała Liza.

- A któż to taki ta Heidi? -  
zapytała Eileen wyniośle.

- Przyjaciółka Klary -  
wyjaśniła Ewa.

- Wnuczka Halnego Stryjka z  
gór - dodała Anna.

- Pięknie gra na skrzypcach -  
uzupełniła Jamy.

- A więc jest artystką...  
wieśniaczka i artystka...  
okropność! Dlaczego nie mogę  
mieszkać z tobą? - zwróciła się

do Anny, której francuskie pochodzenie uzewnętrzniało się doskonałą prezencją.

- To niemożliwe! Odkąd przyjechałam przed trzema dniami, jestem skazana na towarzystwo tej oto Lizy. Sprzeczamy się całymi dniami - mówiła ze śmiechem - ale nie opuszczę jej za nic w świecie.

- Wielka szkoda! A ty? - Eileen spojrzała na Ewę.

- Ja? - spytała trochę zaskoczona Ewa. - Bardzo nam dobrze z Jami. Ja jestem wysoka, ona niska, więc doskonale się uzupełniamy. Poza tym Heidi to miła dziewczę i wszystkie ją lubimy.

- Mnie ona nie odpowiada - powiedziała majestatycznie Eileen.

- No to wielka szkoda - zakończyła dyskusję Liza, ale opuściła pokój z wesołym błyskiem w oczach. Heidi została zaatakowana i teraz wszystkie miały okazję stanąć w jej obronie.

Z jednej strony klasy, w której zebrały się nowe uczennice, aby wysłuchać regulaminu, znajdowały się wielkie drzwi do pięknie utrzymanego ogrodu. Kiedy czekano na przyście Mademoiselle Larbey, Heidi wymknęła się na zewnątrz. Patrzyła na kępki pierwiosnków ukryte w niskiej trawie, na zaczynające pękać nabrzmiące pąki kasztanów, na malutki, kłębiasty obłoczek płynący nad ogrodem - chyba wprost znad górskich szczytów. Wyglądał zupełnie jak śnieżulka - mała, biała kozia sierota - ulubienica Heidi z czasów, gdy chodziła z Piotrkim na górskie pastwiska.

- Heidi! Ona nadchodzi! - ostrzegawczo zawołały dziewczynki. Heidi zdążyła w porę wsunąć się na swoje miejsce, gdy do klasy wkroczyła Mademoiselle Larbey.

Zaczęła czytać uroczystym głosem: - Regulamin "Szkoły pod Głogami".

- 1) Uprzejmość obowiązuje zawsze i wszędzie.
- 2) O wpół do dziesiątej gasną wszystkie światła.
- 3) Nie wolno grać na fortepianie przy otwartych oknach.
- 4) Nie wolno wieszać na ścianach obrazków i fotografii.
- 5) Zabrania się...
- 6) Nie wolno....
- 7) Uczennice powinny...
- 8) Młode dziewczęta nie powinny...

I tak dalej i tak dalej, przez dwie długie strony. Potem nastąpiło wyliczanie kar: zakaz wychodzenia na spacer, grzywny - od dziesięciu centymów - do jednego franka, zamknięcie w pokoju, zawiadomienie rodziców, wykluczenie.

Regulamin zrobił duże wrażenie na wszystkich uczennicach. Spoglądały jedna na drugą w milczeniu, nawet po wyjściu dyrektorki. Jedynie Liza, bardziej figlarna niż pozostałe, rozładowała napiętą sytuację, gdy naśladowując pedantyczną intonację Mademoiselle Larbey, zauważyła: "Przed wszystkim zabrania się traktować ten regulamin zbyt poważnie".

Dziewczęta jeszcze zanosiliły się śmiechem, kiedy do klasy weszła Mademoiselle Raymond. Uciszyła je jednym ruchem palca.

- A teraz bierzemy się do pracy - oświadczyła surowo. - Ty Lizo - do fortepianu. Heidi, Monsieur Rochat czeka, by dać ci pierwszą lekcję gry na skrzypcach. Eileen, możesz pójść i uporządkować swój pokój. Anna i Ewa mają lekcję angielskiego, reszta zostaje ze mną.

Monsieur Rochat przejawiał ojcowskie zainteresowanie Heidi i zadał jej wiele pytań dotyczących życia w Dorfli. Odpowiadała na nie ze zwykłą sobie otwartością i prostotą. Później on opowiadał o górach, które dobrze znał i kochał. Wakacje spędzał w Alpach, pracując jako przewodnik uczniów, udających się na wspinaczkę.

- Jak długo uczyłaś się gry na skrzypcach? - zapytał dziewczynkę.

- Dwa lata - odrzekła.

- A kto pierwszy podsunął ci myśl o graniu? - kontynuował. Nowa uczennica zaczynała go coraz bardziej interesować.

- Najpierw był to szmer wiatru w gałęziach jodeł, wysoko w górach, a potem Klara podarowała mi skrzypce - wyjaśniła Heidi.

- Dobrze! A teraz zobaczmy, co potrafisz.

Heidi tak bardzo chciała zrobić przyjemność nowemu nauczycielowi, że palce miała sztywne z przejęcia i grała wyjątkowo źle.

- Moje dziecko - powiedział Monsieur Rochat - zanim zostaniesz prawdziwą skrzypaczką, musisz przejść bardzo długą drogę.

- Skrzypce nie brzmią tu tak samo jak w domu - zauważyła Heidi, wpatrując się ze zdziwieniem w instrument.

- Skrzypce są w porządku - odrzekł nauczyciel. - To tylko dziewczynka reaguje na obce otoczenie.

- Kiedy spoglądam na jezioro - wyjaśniła Heidi - to już nie czuję się obco.

- A więc graj przy oknie, moje dziecko.

- Istotnie, tak zrobię! - zawołała Heidi i podbiegła, by

odsunąć okiennice. - A teraz  
zagram dla dziadka i zacnego  
doktora, i Brygidy, i Piotrka  
przebywającego wysoko w górach.  
Zagram nawet dla niewidomej  
babci w niebiańskim ogrodzie.

- A gdzie to jest? -  
zainteresował się nauczyciel.

- Tam, gdzie ślepi widzą -  
odparła Heidi nabożnie. - Babcia  
opowiadała mi o tym, gdy  
czytałam jej psalmy. Potem  
nauczyłam się dla niej grać, bo  
to sprawiało jej przyjemność. A  
teraz ona słucha tylko  
niebiańskiej muzyki.

- Cóż za słodka, naiwna wiara  
- szepnął do siebie Monsieur  
Rochat, wyciągając wielką  
chustkę, aby otrzeć oczy. Po  
czym powiedział z wielką  
pewnością w głosie: - Będziesz  
grać, Heidi. Ale zawsze będziesz  
grać najlepiej dla tych, którym  
twoja muzyka będzie najbardziej  
potrzebna.

### III. Pod nieobecność Heidi

#### Rozdział III

##### Pod nieobecność Heidi

W Dorfli nastąpiła wiosna.  
Fioletowe i białe krokusy kwitły  
na zboczach, brzegi ścieżek  
porastały podbiałem i zewsząd  
dochodziła muzyka zrodzona z  
szumu małych, górskich  
potoczków.

Tego ranka, gdy Halny Stryjek  
spojrzał na wysokie, górskie  
szczyty, z drogi zniknęła  
ostatnia odrobina śniegu.

- Doktorze, jutro idziemy w  
góry - kozy i ja - oznajmił



radośnie.

- Stryjku, nie myślisz chyba poważnie, by wybrać się tak wcześnie. Nie mam prawa ci doradzać, ale nie jesteś już młodzieniaszkiem. Dlaczego nie miałbyś jeszcze pozostać tutaj i Piotrkowi powierzyć swoje kozy?  
- zapytał przyjaciel.

- Ach, doktorze - westchnął starzec. - Nie rozumiesz tego, że muszę pójść, zwłaszcza, że może to ostatni raz. Muszę pobyc i porozmyślać tam, gdzie bliżej Boga.

- Poczekaj jeszcze trochę - namawiał doktor - wieczory są jeszcze chłodne, a noce zupełnie zimne.

- Przeżyłem tyle takich nocy, że to nie ma znaczenia - odparł Stryjek. - Dzięki ci za troskę. Góry jednak wzywają mnie i jutro tam pójdę.

Doktor zamilkł, widząc, że żadne prośby na nic się nie zdadzą. Powiódł zatroskanym wzrokiem za dziadkiem, który wyszedł, by poczynić niezbędne przygotowania do wyprawy.

Po chwili wahania doktor udał się na poszukiwanie Piotrka. Zastał go przy reperowaniu dachu matczynej chaty. Wiatr zerwał kawał poszycia i w dachu widniała dziura. Piotrek nie miał zręcznych rąk i dobrze o tym wiedział. - Jeszcze jedna zima - twierdził - i z chaty nie zostanie ani śladu. Stryjek ją zawsze naprawiał - poskarżył się.

- Piotrku, Stryjek jest stary - powiedział doktor. - Zimny, alpejski wiatr nie wyjdzie mu na dobre. A pomimo to, postanowił jutro iść w góry i zabrać ze sobą kozy. Co możemy zrobić, żeby go powstrzymać?

- Nic - stwierdził Piotrek z rezygnacją.

- Nic? Dlaczego nic? Chcesz, żeby staruszek tam zamarł?

- Nie - odparł chłopiec. -  
Wiem tylko, że nie można zmienić  
jego postanowień. A pan zostanie  
sam?

- Istotnie, zostanę sam -  
odpowiedział doktor. - Chyba, że  
twoja poczciwa matka opuści swą  
chatę i będzie mi prowadzić dom.

Piotrek z powątpiewaniem  
popatrzył na dziurawy dach,  
który usiłował zreperować.  
Mógłby położyć kilka warstw  
desek, pokryć je papą i żwirem,  
ale to i tak na nic się nie zda.  
Fundamenty domu gniją i gwoździe  
nie mogą utrzymać spróchniałego  
drewna. Tak, pomyślał tylko,  
dalsze naprawy nie mają sensu.  
Brygida będzie rada z możliwości  
pieczenia chleba i ciasta dla  
doktora. On zaś z przyjemnością  
będzie je zjadać przy stole  
doktora, przy którym zasiadał  
często razem z Heidi.

- Przeniesiemy się -  
oświadczył, zsuwając się z  
dachu.

- Znakomicie! - ale najpierw  
musisz pomóc Strykowi z  
bagażem. Jest zbyt ciężki, by  
uniósł go sam. Tylko - dodał  
ostrzegawczo - tego mu nie mów.

Chłopiec zrozumiał. Halny  
Stryjek wpadał w melancholię,  
gdy uświadamiał sobie, że traci  
siły. Tego popołudnia Piotrek  
kręcił się koło domu w Dorfli,  
wypatrując i wyczekując.

- Stryjku, czy mogę pójść z  
tobą i wydoić kozy? - zapytał,  
gdy tylko pojawił się staruszek.

- Dobry dzień, Kozi Generale.  
Pewnie, że możesz - odrzekł  
dobrodusznie.

- Kozy wyglądają jak po  
kąpieli - zauważył chłopiec,  
kiedy wyprowadzili zwierzęta z  
obórki.

- Muszą być czyste na  
powitanie słońca. Tak pracowało,  
żeby przygotować nam górę ze  
świeżą, zieloną trawką i  
barwnymi kwiatami. Szałas jest  
też umyty śniegiem. Ani kozy,

ani ja, nie możemy pójść tam  
jutro i narobić słońcu wstydu.

- Chciałbym bardzo wybrać się  
z wami. Czy mogę? - zapytał  
Piotrek.

- A co ze szkołą?

- Nigdy nie zapamiętacie, że  
już skończyłem szkołę? A poza  
tym jutro jest niedziela - dodał  
pospiesznie chłopiec.

- No dobrze - odparł Halny  
Stryjek. - Jeśli sprawi ci to  
przyjemność, to możesz pójść.

Nazajutrz mała chatka na hali  
otworzyła szeroko drzwi i okna,  
jakby chciała napić się  
słonecznego blasku. Dzień mijał  
za dniem. Ciepło wiosennego  
słońca obudziło najpierw  
malutkie, niebieskie gencjany,  
te z białą gwiazdką pośrodku.  
Potem, jeden za drugim wszystkie  
kwiaty otwierały swe kielichy.  
Były tu i żonkile, i  
pierwiosnki, i małe, złociste,  
skalne różyczki. Wszystkie  
kwitły niezwykle barwnie.  
Piotrek przyglądał się temu  
cudowi natury, jak robił to  
każdej wiosny, odkąd sięgał  
pamięcią. Prawdziwe piękno tego  
zjawiska pojął jednak dopiero  
wtedy, gdy ukazała mu je Heidi.

Trawa na pastwiskach stała się  
lśniącą i słodka rozciągając się  
jak suto zastawiony stół dla  
baraszkujących kóz. Piotrek  
wstawał codziennie ze słońcem; a  
wieczorem, gdy schodził zboczem  
w dół, zawsze spotykał Stryjka  
czekającego przed chatką.

- Widziałeś jastrzębia,  
generale? - pytał co wieczór  
staruszek.

- Tak - odpowiadał Piotrek. -  
Często go widuję.

- Udało mu się chwycić kozłą?

- Nie, Stryjku. Wiesz, że  
jestem silny. Jeśli jastrzęb  
zbliży się zbyt do stada, to  
wygrażam mu laską i rzucam w  
niego kamieniami. Jest dość  
mądry, żeby się trzymać z

daleka.

- Jesteś odważniejszy od Gerarda, kozłarza z Ragaz. Nieraz widziałem, jak jastrząb chwycił kozłę z jego stada. Z kim ty rozmawiasz tam, na pastwisku?

- Stryjku, żartujesz sobie ze mnie - rozżalił się Piotrek.

- Ależ nie - odparł dziadek. - Ja też jestem sam przez cały dzień, a lubię sobie wieczorem uciąć pogawędkę. Gdyby przyjechała Heidi, to poszłaby z tobą. Nie byłbyś wtedy taki samotny; z kozami tylko i jastrzębiem. Ona bardzo lubiła chodzić na górskie pastwiska.

Białaska i Buraska, dwie kozy należące do Halnego Stryjka, wyczuły smutek brzmiący w jego głosie. Zaczęły ocierać się o niego nosami, jakby chciały powiedzieć: "Jesteśmy z tobą. Jesteśmy z tobą. Już nie jesteś samotny".

Stryjek pogłaskał je i dał im trochę soli.

- Heidi chciałyby paść kozy - westchnął.

Piotrek podrapał się po krótko ostrzyżonej głowie, starając się wymyślić coś takiego, co zwróciłoby myśli staruszka w bardziej pogodnym kierunku. Ale jego opowiadanie o barwnych kwiatach na pastwisku, słodkiej trawie i figlarnych kozłętach, przynosiły wciąż tę samą odpowiedź: "Heidi chciałyby je zobaczyć".

Wtorek był dla Halnego Stryjka dniem wyjątkowo szczęśliwym. Wtedy bowiem Piotrek wyruszał w góry, mocno ściskając list, który Heidi pisała każdej niedzieli. Na pensji nie pisano listów według życzenia, lecz w wyznaczonym czasie.

Dziadek, który wstawał przed wschodem słońca, często już w pół drogi spotykał kozłarza. Nie czytał listu od razu. Czekał, aż usiądzie sobie wygodnie na

ławeczce przed chatą. Tu miał przed oczyma widok na całą dolinę. Czuł, że może myślami dosięgnąć Heidi, jeśli będzie spoglądał na drogę, wijącą się między górami, aż do samej Lozanny.

"Drogi Dziadku - pisała - pracuję tak wytrwale, jak tylko mogę, aby powrócić do domu możliwie najprędzej. Monsieur Rochat jest ze mnie zadowolona, Mademoiselle Raymond również. Chociaż ona twierdzi, że nie umiem właściwie wymawiać "r". Proszę Cię, pocałuj ode mnie Białaskę i Buraskę. Pocałuj je mocno i prosto w nos, i nie zapomnij dawać soli Szczygiełce, kiedy Piotrek przechodzi obok ze stadem. Ona była zawsze słabsza od innych.

Często się martwię o Ciebie, jak tam żyjesz sam w chacie na hali. Chciałabym, bardzo bym chciała, być tam razem z Tobą. Zwłaszcza wieczorem, kiedy siedzisz na swojej ławeczce, słuchasz jak wiatr porusza wierzchołki drzew i myślisz o mnie. Dzisiaj będę w małym pokoiku na wieżycy grać dla Monsieur Rochata. Wyobrażę sobie, że jestem tam razem z Tobą i to będzie tak, jakbym grała dla Ciebie."

List ciągnął się jeszcze przez trzy strony i zawierał spis rzeczy, którymi dziadek miał się zająć. Heidi prosiła go również, żeby zebrał niektóre górskie kwiaty, ususzył je i przysłał jej do szkoły. Chciała ozdobić swój pokój tak samo jak sypialnię w domu. Pisała, że pensja się jej podoba, uczy się z przyjemnością i lubi swoje koleżanki. Mimo pogodnej treści, dziadek odczytał między wierszami tęsknotę za domem.

Staruszek wracał do listu Heidi wiele razy przez cały tydzień. Rozmyślał nad nim, rozważał zdanie po zdaniu - rad, gdy jego dziewczynka czuła się

szczęśliwa - przygnębiony, gdy  
sądził, że jest smutna,

Piotrek nie był zadowolony.  
Twarz dziadka stawała się  
dziwnie szara. Oczy straciły  
swój zwykły blask. Jednego  
wtorku dziadek nie wyszedł mu na  
spotkanie i chłopiec wystraszył  
się. Pobiegł spieszenie do  
chatki, w obawie, że stało się  
coś złego. Staruszek jednak  
siedział spokojnie na ławeczce,  
czekając na niego.

- Przyniosłeś mi list,  
generale?

- Tak, Stryjku - odpowiedział  
Piotrek. - Wyglądasz dziś na  
zmęczonego. Czy coś się stało?

- Nic się nie stało i nie  
jestem zmęczony - odparł Halny  
Stryjek. - Po prostu jestem  
stary.

- Ale przecież stary jesteś od  
dawna.

- Tak, lecz przedtem nie  
czułem tego - stwierdził  
dziadek. - A teraz czuję.

Nadszedł lipiec. Zamknięto  
szkołę w Dorfli i każdego dnia  
dziadek obserwował gromady  
dzieciaków. Wdrapywały się na  
zbocza opadające ku wiosce, aby  
pomagać rodzicom przy  
sianokosach. Sam skosił już  
trawę na łące za chatą,  
przewrócił, żeby wyschła i  
wniósł siano na plecach do małej  
stodółki. Wysyłał do Heidi listy  
krótkie, lecz pełne uczucia i  
często wkładał do nich suszone  
kwiaty. Któregoś dnia powiedział  
do Piotrka:

- Zaprowadź dziś kozy trochę  
wyżej niż zwykle. Weź je aż do  
tej wielkiej skały, gdzie trawa  
jest miękka i słodka. Upewnij  
się, że Białaska i Buraska  
zjedzą swoją porcję. Ich mleko  
musi być szczególnie smaczne,  
ponieważ chcę z niego zrobić  
mały serek dla Heidi. Czy nie  
uważasz, generale, że to dobry  
pomysł?

Piotrek zgodził się ze starym

pasterzem bez wahania.

- Och, Stryjku, to doskonała  
myśl! - wykrzyknął. - Heidi na  
pewno się ucieszy.

#### IV. Prezent od dziadka

### Rozdział IV

#### Prezent od dziadka

Zbliżał się koniec szkolnego semestru i niektóre uczennice wyjeżdżały na wakacje. Liza jechała na wieś, spędzić miesiąc z rodzicami. Anna wracała do domu, do Bretanii. Ewa miała spędzić wakacje z przyjaciółmi w górach. Lecz Eileen, Jamy, Heidi i obie Angielki, pozostawały w szkole.

Teraz, kiedy Ewa wyjechała, Heidi chciałyby zamieszkać z Jamy, która stała się jej najbliższą przyjaciółką. Nie śmiała prosić o zmianę z obawy, że sprawi przykrość Eileen.

Pewnego dnia, krótko przed wakacjami, otrzymała z Dorfli małą starannie zapakowaną paczuszkę. Dziewczynki były bardzo zaciekawione i próbowały odgadnąć, co jest w środku.

- Czekolada!

- Nie, przecież paczka jest okrągła.

- Może to bukietek kwiatów.  
Będą zupełnie zwiędłe.

- Wszystkie się mylicie!  
Jestem przekonana, że to torcik!

- Pospiesz się Heidi -  
ponaglały. - Otwórz ją i  
zobaczmy, kto miał rację.

Heidi przecięła sznurek i otworzyła paczkę. Ku zdumieniu dziewcząt, na stole leżał mały, kozi serek - okrągły i bielutki.

- śmietankowy serek! - wykrzyknęły, marszcząc nosy.

- Ale brzydko pachnie - dodała jedna z Angielek. - Biedna Heidi! Twój dziadek pewnie myślał, że cię tu głodzą.

- Doskonały żart - zgodziły się wszystkie i zaczęły chichotać.

Jedna Heidi nie śmiała się. Przez chwilę miała nawet ochotę wyrzucić ten nieszczęsny serek przez okno. Z jego powodu koleżanki żartowały z niej. Potem jednak zawstydyła się. Przypomniała sobie, jak dziadek wołał ją na kolację, a ona wdrapywała się na małe krzeselko, które zrobił specjalnie dla niej. Zwykle nie było nic poza razowym chlebem, serem i kozim mlekiem do popicia. Z jakim jednak apetytem zjadali oboje z Piotrkim te kozie serki po dniu wspinania się za stadem! Białaska i Buraska dawały najlepsze mleko na sery i dziadek sam mieszał je drewnianą łyżką, aż zgęstniało w naczyniu. Teraz Heidi przyznała się do tęsknoty za znajomym smakiem serka.

- No to się częstuj! - zaczęły ją drażnić koleżanki. Ze śmiechem i kpinami wybiegły z pokoju zaciskając palcami nosy.

- Rety! Co za zapach!

- Szybko, na świeże powietrze!

- Otwórz szeroko okno, żeby wiatr wywiał ten zapaszek!

- Nie chcę pozostać w tym pokoju. Ona pewnie zachowa ten ser na pamiątkę, a ja nie zniosę tego smrodu! - zawołała Eileen.

Nagle dziewczęta przestały się śmiać. Edith, zawsze tak układna, subtelna i elegancka, że wszystkie ją naśladowały,



spojrzała na Eileen ze zdziwieniem.

- Ależ Eileen, mam nadzieję, że nie traktujesz tego poważnie. My tylko żartowałyśmy.

- Dobrze ci tak mówić! Heidi nie mieszka w twoim pokoju - odrzekła Eileen.

- Gdyby nie Molly, którą znam od dawna, to chciałabym mieszkać właśnie z Heidi - powiedziała z uczuciem Edith.

- Cóż, a ja nie! - odpaliła Eileen. - Mam jej dosyć. Idę do Mademoiselle Larbey poprosić o zmianę pokoju.

- Nie zrobisz tego!

- Oczywiście, że zrobię. Zaraz zobaczycie!

Dzwonek na lekcje przerwał tę scenę. Pomimo wakacji uczennice pracowały codziennie między piątą a wpół do siódmej. Teraz więc udały się do swoich klas z uczuciem, że zdarzyło się coś bardzo niemiłego. Heidi wyglądała szczególnie smutno, kiedy weszła do pokoju, w którym czekał na nią Monsieur Rochat.

- Co ci się stało, Heidi? - zapytał z głęboką troską. - Czy otrzymałaś złą wiadomość z Dorfli?

- Dziękuję panu, nie - odparła uczennica. - Dziadek i doktor mają się dobrze, a Piotrek i jego matka czują się szczęśliwi w domu doktora.

- A więc coś złego musiało stać się tutaj - nastawał nauczyciel.

- Nie, nie, wszystko jest w porządku - zapewniła uczennica. Monsieur Rochat nie wypytywał jej więcej, ale postanowił sam dowiedzieć się, co się stało. Był bardzo przywiązany do Heidi i nie mógł znieść widoku jej zasmuconej twarzyczki.

Po lekcji jak zwykle poszedł do biblioteki, aby poczekać do

kolacji. Zastał tam grupkę podekscytowanych nauczycielek, pracowicie mielących językami. Teraz już był pewien, że coś się wydarzyło, tylko co?

- To nieprawdopodobne - mówiła wzburzona dyrektorka. - Można by pomyśleć, że moje uczennice głodują, że nie dają im wystarczająco dużo jedzenia. Co sobie ludzie pomyślą o mojej szkole? Zupełnie nie wiem, co mam robić - zakończyła, załamując ręce dramatycznym gestem.

- A co można zrobić? - równie dramatycznym tonem zapytała Miss Smith.

Na bibliotecznym stole leżało coś, czemu wszystkie przypatrywały się z uwagą. Profesor jednak ze swego kącika niczego nie mógł zobaczyć.

- Moim zdaniem - zauważyła Mademoiselle Raymond - nie chodzi o to co zrobić z tym, ale co zrobić z Eileen. Ona nie chce nadal mieszkać z Heidi.

- Ach! To jest całkiem zrozumiałe - westchnęła dyrektorka.

- Dziecko tak delikatne, tak wrażliwe! A jakie jest pani zdanie o tym wszystkim, Miss Smith? Jaki pokój mamy przeznaczyć dla Heidi? Jest zupełnie pewne, że żadna z dziewcząt nie zechce mieszkać z małą wieśniaczką, która przechowuje w pokoju kozie serki.

Do tej chwili Monsieur Rochat słuchał, nie rozumiejąc o co chodzi. Teraz wszystko było jasne. Usta mu się lekko wykrzywiły, ale dalej milczał.

- Spanie w tym samym pokoju, w którym znajduje się Heidi, będzie niemożliwe - wyraziła swoją opinię nauczycielka angielskiego - jeśli zatrzyma ten serek. To szkodliwe dla zdrowia.

- Ale przecież - wtrąciła

Fraulein Feld - ona nie odpowiada za ten niezwykley prezent.

Nauczyciel muzyki podszedł trochę bliżej; usta drgały mu pod gęstym wąsem.

- A pan, Monsieur Rochat, co pan o tym myśli? - zwróciła się do niego dyrektorka.

- Nie mam nic do powiedzenia, w każdym razie w tej chwili - odparł.

Po chwilowym milczeniu Mademoiselle Larbey poleciła:

- Proszę tu przysłać Jamy, Molly i Edith. Spróbujemy znaleźć jakieś wyjście.

Fraulein znalazła wszystkie trzy w pokoju Angielek, gdzie gorąco o czymś rozprawiły.

- Panienki - zaczęła dyrektorka, kiedy Fraulein wprowadziła dziewczęta do biblioteki - wiecie, co się wydarzyło. Wasza koleżanka Eileen odmówiła zamieszkiwania z Heidi. Która z was zgodzi się mieszkać z Eileen?

Przez chwilę panowało całkowite milczenie, po czym Edith spojrzała na dyrektorkę i powiedziała: - Mademoiselle, wszystkie trzy chciałbyśmy dzielić pokój z Heidi! - Mówiąc to, mocno podkreśliła imię Heidi.

Potem odezwała się Jamy: - Molly i Edith są dawnymi przyjaciółkami. Ewa jest teraz na wakacjach, więc czy Heidi mogłaby wprowadzić się do mnie?

- Decyzję podejmiemy później - odparła trochę zbity z tropu dyrektorka. - Teraz możecie odejść.

Spojrzała na Monsieur Rochata, któremu cała ta scena sprawiła niezwykley przyjemność.

- Jak pani widzi, miałem powody, aby nie interweniować. Wszystko ułożyło się samo -

powiedział z uśmiechem.

- To pan tak myśli -  
odparowała dyrektorka z  
wysiłkiem - ale nic się przecież  
nie ułożyło. Co ja powiem  
Eileen? Będzie miała złamane  
serce, biedne dziecko! - dodała  
współczująco.

- Możliwe, ale to jej dobrze  
zrobi - stwierdził profesor. -  
Czy ktoś pomyślał o sercu Heidi?

Nauczycielki wymieniły  
zakłopotane spojrzenia, a  
profesor opuścił bibliotekę  
uśmiechając się pod wąsem.

Przy kolacji Monsieur Rochat  
zwrócił się łagodnym tonem do  
Heidi.

- Słyszałem, że otrzymałaś z  
Dorfli coś specjalnego, piękny  
serek z koziego mleka. Czy  
moglibyśmy go popróbować? Jestem  
pewien, że twoje koleżanki nigdy  
takiego nie jadły; a jeśli  
chodzi o mnie, to nieczęsto  
trafia mi się podobny rarytas.

Heidi zarumieniła się i  
spojrzała na siedzące przy jej  
stole dziewczynki. Uśmiechały  
się zachęcająco i znowu Edith  
wypowiedziała w imieniu  
wszystkich.

- Bardzo prosimy, Heidi,  
poczęstuj nas.

Wszyscy, z wyjątkiem Eileen,  
która nie chciała go tknąć,  
zjedli po plasterku  
"specjalności Dorfli". Jednym  
smakował bardzo, inne zaś  
udawały, że im smakuje.

Heidi doskonale rozpoznawała  
te, które jadły tylko z  
uprzejmości i uśmiechnęła się na  
widok Molly, odważnie  
dojadającej swoją porcję.

Po kolacji Mademoiselle Larbey  
przyłączyła się do siedzących w  
saloniku dziewcząt.

- Eileen - powiedziała -  
zadecydowałyśmy pozostawić cię  
samą w pokoju. Żadna z dziewcząt  
nie chciała z tobą zamieszkać,

choć wszystkie wyraziły chęć dzielenia pokoju z Heidi. Wydaje mi się, że zrozumiesz to lepiej po przemyśleniu w samotności. Porozmawiam jeszcze z tobą na ten temat, ale już w moim gabinecie. Przyjdź tam o wpół do dziewiątej. A ty, Heidi, możesz się przenieść do Jamy i zabrać ze sobą resztę koziego serka.

- Och, dziękuję, Mademoiselle!  
- wykrzyknęła Heidi z wdzięcznością.

- Heidi!

- Jamy! - zawołała Heidi, kiedy padły sobie w objęcia.

Nie mogła powiedzieć nic więcej, lecz jej oczy były jak jeziora - lśniące łzami szczęścia.

## V. List do dyrektorki

### Rozdział V

#### List do dyrektorki

Pewnego dnia doktor spotkał we wsi Piotrka i zapytał o przebywającego w górach Halnego Stryjka.

- Jest bardzo smutny - westchnął Piotrek.

- Dlaczego? - zdziwił się doktor. - Dlaczego uważasz, że jest smutny?

- Jest smutny, bo jest samotny  
- odparł z prostotą chłopiec.

- Przecież sam tego chciałem! - wybuchnął doktor. - Czy przypuszczasz, że nie zrobiłem wszystkiego, co w mej mocy, aby powstrzymać go od wyprawienia

się w góry?

- On jest smutny, bo tęskni za Heidi - wyjaśnił Piotrek.

- To nie jest odpowiedź -  
zniecierpliwił się starszy pan.  
- Posłuchaj no, co właściwie tam się dzieje?

Piotrek zastanawiał się chwilę, zanim odpowiedział.

- Stryjek nigdy się nie śmieje. Siedzi tylko na swojej ławeczce przed chatą i kiedy przechodzę, mówi: Heidi chciałaby pójść dzisiaj z tobą w góry. Czasami znowu mruczy do siebie. Chyba lepiej, żeby nie przyjeżdżała... ale nie jestem pewien.

- Dziękuję ci, Piotрку. Pójdę go odwiedzić.

Na drugi dzień rano, gdy doktor dotarł do chatki, na ławeczce nikogo nie było. Może Halny Stryjek coś naprawia w szopie, pomyślał. Lecz tam też nie było staruszka. Zaniepokojony doktor wszedł do kuchni i stanął na progu jak wryty. Dziadek siedział przy stole, głowę oparł na złożonych ramionach i zdawał się spać.

- Dzień dobry, Stryjku. Nie słyszałeś, jak wszedłem - powiedział doktor. - Mam nadzieję, że ci nie przeszkodziłem.

- Och, mój przyjacielu! Więc to ty! - zawołał dziadek, prostując się. - Jakiś ty dobry, że zechciałeś przyjść do mnie. Masz jakieś nowiny o naszej małej? - I tu zaczął sam opowiadać o Heidi.

- Czy pisała ci o swej ostatniej przygodzie? Wszystkie dziewczynki pojechały do miasta i tam zatrzymały się przed wystawą sklepową, żeby popatrzeć na obraz przedstawiający góry. Heidi była nim tak pochłonięta, że nie słyszała wołania Mademoiselle Raymond i została zupełnie sama. Zamiast powrócić od razu do szkoły, powstała

jeszcze przed wystawą i patrzyła na obrazek, bo te góry przypominały jej dom. Później spacerowała po ulicach. Te pomysły o samodzielności przejęła pewnie od Białaski i Buraski. Mimo to jestem rad, że odważnie szukała drogi, gdy została sama w mieście. Tu mam jej ostatni list - dodał, wyjmując go z kieszeni i kładąc na stole.

- Zdaje się, że lubi lekcje szycia i niecierpliwie oczekuje chwili, kiedy sama zacznie tego uczyć dziewczęta w Dorfli. Mogłaby korzystać z dużego pokoju w pańskim domu, doktorze. Na poddaszu, tego, który stoi pusty. Co pan o tym sądzi?

Sama myśl o Heidi sprawiła, że stare oczy rozbłyły blaskiem szczęścia. Był taki dumny z inteligencji swej wnuczki, z jej niezależnego usposobienia. Teraz figlarnie spoglądał na doktora, pewien jego aprobaty.

- Zamienić moje laboratorium na szwalnię! - wykrzyknął przyjaciel. - A ja dokąd pójdę z moimi buteleczkami, retortami i probówkami? Może zechce, żebym i ja uczył się szycia pod jej kierunkiem? Dzieci to twardy orzech do zgryzienia, Stryjku - chyba będę się musiał przenieść teraz do piwnicy.

Pewien czas rozmawiali o proponowanych przez Heidi lekcjach szycia, o jej muzyce i przyjaciółkach, które znalazła w szkole. Oczy dziadka błyszczały, lecz gdy tylko doktor wstał do wyjścia, znowu sposepniał.

- Zostałbym tu dłużej - zapewnił go stary druh - ale już czwarta, a obiecałem odwiedzić dzisiaj starego Seppeli. Jego koniec już się zbliża.

- Jesteśmy obaj w tym samym wieku - szepnął Halny Stryjek. - Obaj mieliśmy po dwadzieścia lat, gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się w dolinie... Zdawało się, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale urwał i pogрузił się w zadumie. Może myślał o

swej zmarnowanej młodości, o dawno zmarłych rodzicach i latach spędzonych samotnie w górach, zanim w jego życiu pojawiła się Heidi. Po długim milczeniu zaczął mówić przytłumionym głosem: - Tak, jesteśmy w tym samym wieku, a ty mówisz, że on umiera!

Teraz doktor zrozumiał, jakie to myśli zaprzętały głowę starca.

Po wizycie u starego Seppeli doktor pospieszył do domu, po czym zasiadł przy biurku i napisał następujący list.

"Ch~ere Mademoiselle,

Miałem zamiar pozostawić moją chrzestną córkę Heidi na całe wakacje w szkole, aby mogła kontynuować lekcje muzyki. Okazało się jednak, że muszę zmienić plany. Jej dziadek bardzo za nią tęskni. Jest w podeszłym wieku i nie mam prawa pozbawiać go widoku ukochanej wnuczki na tak długo. Dlatego też proszę o zorganizowanie przyjazdu Heidi do Dorfli na sierpień. Jestem zbyt zajęty, aby samemu po nią pojechać i byłbym wdzięczny, gdyby zapewniła jej Pani opiekę, chociaż do Mayenfeld.

Wiem, że Heidi jest bardzo przywiązana do swej przyjaciółki Jamy. Byłoby nam bardzo miło gościć ją przez kilka tygodni. Zna mnie Pani na tyle dobrze, aby polecić rodzicom swej wychowanki. Będę ogromnie zobowiązany za zorganizowanie wyjazdu obu dziewczynek tak prędko jak to możliwe.

Z wyrazami szacunku

pozostaje

Doktor Reboux"



List dotarł do szkoły w sobotę z popołudniową pocztą. Heidi z Jamy czekały na listonosza przy furtce.

- Czy jest coś dla nas? - spytały razem.

Odkąd dziewczynki rozjechały się na wakacje, listonosz stał się bardziej przyjazny. Może żal mu było trochę tych, które pozostały w szkole z dala od swoich rodzin. Tak więc, wbrew surowemu zakazowi Mademoiselle Larbey, pokazał dziewczynkom paczkę listów zaadresowanych do szkoły.

- List od mego ojca chrzestnego do dyrektorki! To dziwne! A do mnie nie ma nic! - wykrzyknęła Heidi, rozpoznając znajome pismo.

- Widokówka od mamy - powiedziała Jamy. - Jest nad morzem z przyjaciółmi... jej przyjaciółmi, nie moimi.

Po chwili milczenia Jamy kontynuowała. - To ładnie z jej strony, że przysłała mi widoczek z hotelem, w którym mieszka. Pewnie jest najładniejszy ze wszystkich. Ma jakieś plany na jesień i nie zdąży mnie odwiedzić. To nie ma znaczenia, już się do tego przyzwyczałam.

Wszystko to wypowiedziała Jamy cichym, łamiącym się głosem, który nie ukrywał jej zranionych uczuć. Heidi myślała w tym czasie o tajemniczym liście i słuchała przyjaciółki jednym uchem. Nagle podniosła głowę, zaskoczona dziwnym tonem jej głosu. Jamy nigdy nie opowiadała w szkole o swej rodzinie i wiadano jedynie, że jej ojciec jest w służbie dyplomatycznej.

- O co chodzi, Jamy? - zapytała. - Jeśli twoja mama nie może przyjechać, to pewnie dlatego, że zatrzymuje ją coś bardzo ważnego. Na pewno zobaczysz rodziców podczas świąt Bożego Narodzenia.

- Nie - odparła Jamy. - Ona

znajdzie nową wymówkę, a ja będę musiała wyjechać w przyszłym roku do Anglii. Nie odwiedzę domu i nie zobaczę nikogo z rodziny, nawet mojej młodszej siostrzyczki.

Heidi osłupiała. Czy to możliwe, że ma się matkę, a nie mamę? Czy można odczuwać brak matczynej miłości, chociaż nie jest się sierotą? Heidi wiedziała bardzo dobrze, co to znaczy nie być kochaną. Tak bowiem czuła się przez te gorzkie i samotne lata spędzone z ciotką Detą, zanim ta odwiozła ją w końcu do nieznanego dziadka. To oznaczało, że nikt nie zwraca uwagi czy jadaś, czy nie; nikt nie widzi, że masz czerwone od płaczu oczy, albo źle wyglądasz. Nikt nie słyszy twego kaszlu i nie martwi się z tego powodu. Nikt nie przemawia do ciebie czule i nie przychodzi pocałować cię na dobranoc. Nikt w końcu nie rozumie, że choć masz czternaście lat, ciągle jesteś małą dziewczynką potrzebującą miłości i opieki. Biedna Jamy! Może na całym świecie nie było nikogo, kto by się nią interesował. Czy nie to było przyczyną jej częstych, smutnych zamyśleń. Heidi z siostrzaną czułością objęła ramieniem przyjaciółkę i powiedziała miękko:

- Jamy, ja też zostaję w szkole przez wakacje. Modliłam się, żeby móc pojechać do domu, lecz już dawno zdałam sobie sprawę, że Pan Bóg wie, kiedy lepiej nie spełniać naszych próśb. Teraz jestem zadowolona z tego, że zostałam.

- Ale dlaczego?

- Bo mnie potrzebujesz - odrzekła Heidi. - Nie miałabyś nikogo bliskiego, gdyby mnie nie było. Razem możemy wspaniale spędzić ten czas. Będziemy chodzić z Monsieur Rochatem na górskie wycieczki. Najpierw wybierzemy się na Skały Naye i spędzimy noc w schronisku Sauaodoz, żeby stamtąd patrzeć na wschód słońca. Nawet nie wiesz, jak jest pięknie, kiedy

góry wyglądają jak ogarnięte płomieniem! Możemy zbierać różne kwiaty, a później przepłyniemy jezioro małym stateczkiem i wdrapiemy się na górę zwaną Zębem Ochesa. Monsieur Rochat mógłby nas nawet zabrać do schroniska świętego Bernarda i zobaczyćbyśmy pamiątki po armii Napoleona. Zakonnicy mieszkają tam przez okrągły rok razem z ogromnymi psami, które odnajdują zasypanych śniegiem wędrowców. Te psy uratowały życie wielu ludzi zagubionych w górach. Jest poza tym masa rzeczy do zwiedzenia. Choćby kopalnie soli w Bex i piękna jaskinia świętego Maurycego, zwana "grota rusalek". Mówię ci, że będziemy miały piękne lato i nie zdążymy zatęsknić za domem!

Heidi była pełna entuzjazmu, a mówiła z takim ożywieniem, że Jamy mimo woli przejęła ten nastrój i poweselała.

- A dlaczego to jest grota rusalek? - zapytała.

- Bo długi korytarz we wnętrzu góry prowadzi do podziemnego jeziora. To Monsieur Rochat powiedział mi o tym. Wejście jest małe i wąskie. Docierasz tam, wdrapując się na strome wzgórze nad brzegiem Renu. Na szczycie stoi mały domek zamieszkały przez zakonnice i jest tam przewodnik, który oprowadza zwiedzających. Dostajesz także lampę, aby oświetlić sobie drogę w podziemnym przejściu - wyjaśniła Heidi.

- A gdzie są rusalki? - dopytywała się Jamy.

- Ich nie można zobaczyć, za to je usłyszymy - odparła z tajemniczą miną Heidi. - Mają pieczarę w głębi góry, ale nikt nie wie, gdzie jest wejście. Jeśli przyłoży się ucho do skalnej ściany, to słychać uderzenia bębna. Mówią ludzie, że to ostrzeżenie dla ciekawskich, którzy chcieliby wejść do ich kryjówki. Monsieur Rochat twierdził, że dźwięk bębna jest zupełnie wyraźny.

- A ty wierzysz w rusałki? -  
spytała Jamy, której nastrój  
zdecydowanie się poprawił.

- Niezupełnie, ale dziadek zna  
mnóstwo legend i ludowych podań,  
a ja za nimi przepadam.

- Och, ja też lubię opowieści  
- przyznała Jamy.

- Może kiedyś przyjedziesz do  
Dorfli, aby mnie odwiedzić, to  
wtedy posłuchasz dziadkowych  
gawęd.

- Nie masz chyba zamiaru  
spędzić całego życia w Dorfli? -  
spytała Jamy, z niedowierzaniem  
patrząc na przyjaciółkę.

- Dlaczego nie? - zdziwiła się  
Heidi.

- Po jakimś czasie poczujesz  
się osamotniona i odcięta od  
reszty świata... jak...  
pustelnik lub zakonnica!

- Odcięta od świata w górach?!  
Przenigdy! - zawołała Heidi. -  
Nic na świecie nie sprawia mi  
tyle radości, co wyprawa w góry  
z Piotrkim, kiedy pasie kozy.  
Możesz myśleć, że to dziwactwo,  
ale kiedy człowiek odkryje takie  
piękno, boi się je utracić i  
chce zachować na resztę życia.

- To tylko zwykła wyprawa w  
góry - próbowała oponować Jamy.  
- Jaki z niej pożytek? Co ci tam  
przyjdzie z twego wykształcenia?

- Będę się nim dzielić -  
odparła pogodnie Heidi. -  
Postaram się nauczyć dzieci w  
Dorfli tego wszystkiego, co sama  
umiem. Jak szyć, gotować, robić  
na drutach - może nawet jak  
malować obrazy i grać na  
skrzypcach. Och! Zobaczysz! Nie  
będę próżnowała! Może nawet  
poproszę cię o pomoc.

- Bardzo chciałabym tam  
pojechać. W każdym razie choć na  
trochę - powiedziała Jamy. - Ale  
nie przypuszczam, żeby tatuś mi  
pozwolił. On cały czas myśli o  
bywaniu we właściwych sferach i  
poznawaniu odpowiednich ludzi.

Kiedy dobrze opanuję język angielski i francuski, to pomogę mu w ambasadzie, tego ode mnie oczekuje. A potem będziesz przyjeżdżała do mnie w gości - do Budapesztu, Wiednia lub Berlina. Może nawet do Paryża czy Londynu.

- Może - przyznała z powątpiewaniem Heidi. - Monsieur Rochat twierdzi, że powinnam kontynuować studia muzyczne w Paryżu. Ja jednak nie jestem wcale pewna, czy chciałabym mieszkać w Paryżu, kiedy wszyscy, których najbardziej kocham, są w Dorfli.

## VI. Dobra wiadomość

### Rozdział VI

#### Dobra wiadomość

Kiedy przyjaciółki rozmawiały przy bramie wejściowej, na końcu ścieżki pojawiła się Mademoiselle Raymond i zawołała Heidi. Machała ręką, aby zwrócić jej uwagę, lecz nie podniosła głosu. Mademoiselle Raymond nigdy nie podnosiła głosu, bez względu na to co się działo.

- Heidi! Heidi! Gdzie jesteś? Ach, tutaj! Podeszła do bramy i spytała z troską w głosie: - Heidi, czy twoja wioska leży bardzo wysoko w górach? Czy idzie się tam pieszo, czy dojeżdża na mułach? Ile to godzin drogi z Mayenfeld?

- Pani, Mademoiselle, zajmie to osiem godzin - odparła Jami.

- Nie bądź zuchwałą! - skarciła dziewczynkę nauczycielka. - Heidi, odpowiadaj!

- Proszę mi wybaczyć,  
Mademoiselle - powiedziała  
łagodnie Jamy. - Omawialiśmy  
właśnie nasze plany wakacyjne i  
dlatego było nam bardzo wesoło.

- Myślę, że pieszo zajmie to  
dwie lub trzy godziny -  
oświadczyła Heidi.

- Mówisz, pieszo! - zawołała  
Mademoiselle. - Czy nie ma  
łatwiejszego sposobu dotarcia  
tam?

- Naturalnie - przyznała  
dziewczynka. - Można w Mayenfeld  
wynająć pocztową bryczkę.

- Dzięki Bogu! Dlaczego nie  
powiedziałaś tego od razu!

Mademoiselle westchnęła z  
ulgą. Tymczasem Heidi czekała  
przepełniona ciekawością na  
jakieś wyjaśnienie. Gdy  
zobaczyła, że nauczycielka  
odwraca się i odchodzi bez  
słowa, pobiegła za nią wołając:  
- Przepraszam, Mademoiselle, ale  
czy mogę zapytać, dlaczego  
zadawała pani te pytania?

- Czy ma pani zamiar spędzić  
wakacje w Dorfli? - zakrzuszyła  
się ze śmiechu Jamy.

- Boże uchowaj! Ale ty jesteś  
dziś nieznośna. Wyraźnie  
sprawiają ci przyjemność żarty z  
mojej osoby - zganiła uczennicę  
stara panna. - Może będę  
zmuszona pojechać do Dorfli, a  
nie jestem już taka młoda jak  
wy.

Jamy zawstydziała się swoich  
kpiniek i nie odezwała się  
więcej, lecz Heidi nadal płonęła  
ciekawością.

- Dlaczego pani będzie musiała  
jechać do Dorfli? - dopytywała  
się. - Czy coś się stało z moim  
dziadkiem? Może ktoś zachorował?

- Nie martw się, moje dziecko.  
Twój dziadek i ojciec chrzestny  
oraz wszyscy przyjaciele w  
Dorfli, o ile wiem, mają się  
dobrze. Nie chciałam cię  
niepokoić - dodała nauczycielka.

- Więc co się stało? -  
nastawała Heidi.

- Mademoiselle Larbey powie ci o tym sama, kiedy uzna to za stosowne. Po tych słowach oddaliła się, pozostawiając obie dziewczynki równie zdziwione i podekscytowane jak poprzednio.

- Czy rozumiałaś coś z tego?  
- zapytała Heidi.

- Niewiele - przyznała Jamy. - Wydaje mi się, że wezwano cię do domu. Dla mnie to nic dobrego. Wygląda na to, że wszystkie nasze plany ulegną zmianie i zostanę tu sama na całe lato.

- Naprawdę myślisz, że mój ojciec chrzestny o tym pisał do dyrektorki? - zastanowiła się Heidi.

- Jestem pewna. Mademoiselle Raymond zawiezie cię prawdopodobnie do Dorfli i dlatego jest taka zaniepokojona. Mam nadzieję, że przyjemnie spędzisz wakacje - dodała Jamy ze smutkiem.

Heidi milczała. Szczerze pragnęła zobaczyć dziadka i doktora. Wiedziała, że Piotrek za nią tęskni i czeka, kiedy wspólnie wyprawią się na górskie pastwisko. Nie chciała jednak opuścić przyjaciółki. Przecież ona nie ma nikogo, kto by martwił się, czy jest szczęśliwa, czy nie! Trzymając się za ręce wróciły do szkolnego budynku. Heidi przekonała się później, gdy poszła na stałą godzinę gry na skrzypcach, że muzyka brzmi smutno i słodko. Miała wrażenie, że jezioro, góry i wszyscy bliscy coś do niej wołali.

- Bardzo dobrze dziś grasz - zauważył Monsieur Rochat. Ale Heidi nie miała wcale wrażenia, że gra. Same skrzypce wydawały te słodkie dźwięki.

Znajdowała się pod wrażeniem muzyki jeszcze wtedy, gdy wieczorem Mademoiselle Larbey podeszła do niej i oświadczyła:

- Moje dziecko, mam dla ciebie wiadomość od twego ojca chrzestnego. Zechcesz przyjść do mego gabinetu?

Jamy spojrzała na koleżankę jakby chciała powiedzieć: - Nareszcie dowiesz się, co było w tym liście.

Heidi poważna i skupiona, podążyła za dyrektorką przez długi hall. Po dziesięciu minutach wyszła stamtąd, szybko zamykając za sobą drzwi. Po czym biegła przez hall i schody jak górską kozica, a wpadając do pokoju, zawołała:

- Jamy! Jamy! Jedziemy razem na sierpień do Dorfli! Doktor prosił o to Mademoiselle Larbey. Wówczas zatelegrafowała do twojego ojca i on się zgodził. Czy to nie wspaniałe? Gdzie jest moja walizka? Co mam ze sobą wziąć? Pewnie niewiele, bo w domu mam bardziej odpowiednie ubranie.

Jamy oparła się o ścianę kompletnie ogłuszona. Przez chwilę nie mogła przemówić ani poruszyć się. Heidi chwyciła ją za ramiona i powtórzyła:

- Jedziesz ze mną, czy tego nie rozumiesz? Wyjeżdżamy jutro rano. Mademoiselle Raymond zawiezie nas aż do Dorfli, gdzie będzie na nas czekał doktor. Prawdopodobnie przenocujemy u niego w domu, a pojutrze rano pójdziemy w góry razem z Piotrkim.

- Dlaczego milczysz? - spojrzała na przyjaciółkę zaniepokojona Heidi. - Nie cieszysz się?

- Heidi najdroższa! Jestem taka szczęśliwa, że brak mi słów - odparła Jamy. Wkrótce jednak odzyskała głos i nic nie było w stanie przerwać potoku jej wymowy. Cały wieczór paplały jedna przez drugą i pakowały walizki. Gdyby Jamy posłuchała Heidi, to zabrałyby ze sobą tylko kilka sztuk bielizny i płócienną sukienkę. Wyglądało na



to, że ludzie w Dorfli nie noszą buczków, kapeluszy, czy płaszczy. Na szczęście Mademoiselle Raymond dopilnowała pakowania. O dziesiątej trzydzieści bagaże zostały zniesione na dół do hallu i w pokoju zapanowała względna cisza. Tylko od czasu do czasu, z jednego lub drugiego łóżka, dochodził słaby pomruk.

- Pamiętałaś o lasce? - albo -  
Gdzie włożyłam domowe pantofle?  
- Czy w Dorfli dostanę widokówki, by je wysłać do rodziców?

O północy nastał spokój i słychać było tylko lekkie oddechy śpiących dziewczynek. Jednak nie wszystkim dane było tej nocy zasnąć. Mademoiselle Raymond przeżywała męki. Dyrektorka poleciła jej odwiedzić dziewczynki aż do Dorfli. Na pewno nie uda się wrócić tego samego dnia i wypadnie tam przenocować. Dla biednej kobiety była to prawdziwa udręka, nieszczęście, czy wręcz katastrofa. Jako osoba nie pierwszej młodości, z przerażeniem myślała o konieczności dotrzymania kroku dwóm rozdokazywanym pannicom. Ponadto zachowała w pamięci ubiegłoroczną wycieczkę do Simplon, kiedy to przemokła do suchej nitki i drżała z zimna. Teraz wydała głębokie westchnienie, gdy pomyślała o ciężkich, podkutych butach, grubej spódnicy, obszernej pelerynie i filcowym kapeluszu. Postanowiła też zabrać olbrzymi parasol. Pamiętała również o wełnianym szalu, a w podręcznej torbie starannie zapakowała flanelową lizeskę i czepek - choć Mademoiselle jako żywo nigdy w czepku nie sypiała! Postanowiła jednak mieć się na baczności i nie ryzykować w niebezpiecznym, górskim klimacie.

VII. Znowu w domu

## Rozdział VII

### Znowu w domu

Zaczynał zapadać letni zmierzch, gdy obie dziewczynki opuściły stację kolejową w Mayenfeld i weszły na wąską drogę. Początkowo biegła ona łagodnym zboczem, lecz im bliżej Dorfli, tym bardziej stawała się stroma.

Mademoiselle Raymond ostatecznie nie była zmuszona do długiej wspinaczki. Uzyskała solenne zapewnienie, że dziewczynki dotrą do wsi przed zapadnięciem mroku, a trasa jest bezpieczna i nic im nie grozi. Z westchnieniem ulgi pozostała na dworcu w oczekiwaniu na najbliższy pociąg do Lozanny.

Na pierwszym zakręcie Heidi i Jamy zatrzymały się, by popatrzeć na piękne widoki. Widać było stąd całe Mayenfeld z czyściutkimi, niskimi domami, wysokimi wieżami kościołów i ruchliwymi ulicami.

Pędzono do domu stado gęsi, to znowu wóz zaprzężony w woły toczył się po drodze. Były też eleganckie powozy, a z daleka dochodził gwizd lokomotywy, ruszającego ze stacji pociągu. Unosiła się nad nim chmura białego dymu, wolno rozścielając się nad doliną. Powyżej miasteczka znajdowały się bujne łąki ze stadami bydła i kóz - a nad nimi skały i wysokie jodły, znowu skały i znowu jodły.

- Widok stąd nie jest zbyt wesoły - zauważyła Jamy, gdy od nowa podjęły wspinaczkę.

- Poczekaj! - odpowiedziała Heidi.

Kiedy weszły wyżej, powietrze stało się ostrzejsze, przepojone

zapachem kwiatów i ziół. Łąki  
zachwycały różnorodnością barw.  
Za zakrętem nieoczekiwanie  
zobaczyły oświetlony ostatnimi  
promieniami słońca masyw  
Falknis. Wznosił się ponad  
innymi wierzchołkami,  
majestatyczny i zachwycający  
odbijał ośnieżonym szczytem cały  
blask niebios. Heidi stanęła na  
środku drogi i łzy radości  
napłynęły jej do oczu na widok  
ukochanej góry.

- Ależ to piękne! - zawołała  
Jamy. - Wydaje się, że nawet  
śnieg płonie. Teraz zaczynam  
rozumieć, dlaczego tak kochasz  
Alpy!

Stały w milczeniu, patrząc na  
niebo, dopóki nie przygaśły  
wieczne zorze. Naraz zdały  
sobie sprawę, że zrobiło się  
późno i przyspieszyły kroku. W  
pewnej chwili Jamy zatrzymała  
się zdyszana i przycisnęła dłoń  
do szyi.

- Och, Heidi! - wykrzyknęła. -  
Zgubiłam coś!

- Twój złoty krzyżyk! -  
zmartwiła się Heidi widząc, że  
przyjaciółce brakuje ozdoby.  
Zwykle nosiła go na wąskiej,  
aksamitnej wstążce, związanej z  
tyłu na supełek i mocno  
wytartej. Widocznie aksamitka  
pękła i krzyżyk gdzieś upadł.

- Za nic w świecie nie  
chciałabym go stracić! - jęknęła  
Jamy. - Należał do mojej babki i  
prosiła mnie, żebym go zawsze  
nosiła przy sobie. Była dla mnie  
tak dobra, jak twój dziadek dla  
ciebie. Teraz jednak przepadł, a  
to była jedyna pamiątka po niej.  
Och, co teraz zrobimy! Mój  
śliczny krzyżyk!

I Jamy roszlochała się na  
dobre. Usiadła na wystającym  
bloku skalnym i płakała tak,  
jakby jej rozrywano serce. Na  
nic się zdały pocieszenia Heidi.  
Rozglądały się dokoła, a nawet  
wróciły do Mayenfeld,  
sprawdzając uważnie przebytą  
drogę. Pożyczyły małą latarnię i  
rozpoczęły poszukiwania od nowa.  
Lecz nigdzie nie było śladu

krzyżyka ani aksamitnej  
wstążeczki.

- To nie ma sensu -  
stwierdziła w końcu Jamy. -  
Przepadł i nigdy go nie odnajdę.  
Nie mówmy o tym więcej i  
spróbujmy spędzić przyjemnie  
wakacje.

Tym razem, kiedy szły pod górę  
w stronę wsi, Heidi nawet nie  
próbowała okazywać współczucia.  
Obie były zbyt zmęczone i  
przygnębione. Nagle, wysoko nad  
ich głowami, rozległo się wesołe  
jodłowanie. Dziewczynki  
podniosły w górę latarenkę, lecz  
nikogo nie mogły dojrzeć.  
Widziały tylko ścieżkę wijącą  
się zygzakowato, między wysokimi  
krzakami i sterczącymi głazami.

- Och, Heidi, spójrz tam!  
Spójrz, tam w górze! Och, co to  
jest? - zawołała uradowana Jamy,  
zapominając o stracie.

Zanim Heidi zdążyła się  
odwrócić, cztery kozy zeskoczyły  
ze zbocza. Za nimi widać było  
wiele innych. Każda miała na  
szyi małe dzwoneczki i ze  
wszystkich stron dochodziło  
delikatne brząkanie. Za chwilę  
pasterz wyszedł zza zakrętu,  
tańcząc wśród brykających kóz i  
śpiewając po francusku pełnym  
głosem:

"Wysoko w górach stoi nowa  
chata@ Jean odważny i wierny,@  
zbudował ją sa\_a\_m!@ Wysoko w  
górach stoi nowa chata..."@

Po czym rozległo się dźwięczne  
jodłowanie. śpiewak podskakiwał  
i ślizgał się na bosych stopach,  
tak samo lekko i zręcznie jak  
jego kozy i niebawem znalazł się  
obok dziewczynek.

- Dobry wieczór! - Powitał je  
wesoło, przyglądając się  
ciekawie. Heidi rozpoznała go  
pierwsza i rzuciła mu się w  
ramiona.

- Piotrek!

- Heidi! - wykrzyknął pasterz.  
- Nigdy nie przypuszczałem, że cię tu spotkam. Mama i doktor wyczekują was od kilku godzin.

- Spóźniłyśmy się - zaczęła Heidi, lecz zobaczyła, że Jamy kładzie palec na ustach, jakby chciała powiedzieć: "Nie mów nic o tym. Nie warto psuć nastroju z powodu zguby".

- Spóźniłyśmy się po prostu, a ty Piotruku? - spytała. - Dlaczego przebyłeś taki kawał drogi aż do Mayenfeld?

- Mam kilka nowych kóz w stadzie - odrzekł chłopiec. - Należą do dyrektora szkoły i prowadzę je do obory w Mayenfeld. Ta jedna jest chyba za mała na taką wyprawę. Wziął na ręce małą, białą kozkę i pogłaskał po łebku. - Biedna mała Beksunia - ciągnął dalej, zwracając się do kózki. - To był bardzo długi dzień. Czy góra nie była dla ciebie zbyt stroma?

- Jak nazwałeś tę kózkę? - spytała Jamy podchodząc do Piotruka.

- Beksunia - to znaczki mała kózka, która pobekuje. Wszystkie kozy mają imiona i każde coś oznacza.

- Heidi mówiła mi o Białasce i Burasce należących do jej dziadka. Czy są w twoim stadzie?

- Dzisiaj nie - odparł Piotrek. Jeżeli jutro wybierzesz się w góry razem z nami, będziesz mogła je zobaczyć.

- Pójdę tam z przyjemnością! - zawołała Jamy. - A zaśpiewasz w całości tę śliczną piosenkę o górskiej chatce?

- Jeżeli Heidi zagra na skrzypcach...

- Naturalnie. To ja nauczyłam cię tej piosenki, kiedy doktor miał z nami lekcje francuskiego. I gram na skrzypcach zawsze, kiedy mnie o to poprosisz.

- Tak było, zanim pojechałaś do szkoły - zachmurzył się chłopiec.

- Phi! - Myślisz, że chciałam wyjechać? To dlatego, że nasz nauczyciel był taki okrutny - wyjaśniła pośpiesznie. - Czy może się zmienić?

Piotrek przecząco pokręcił głową.

- Przypuszczam, że on się nigdy nie zmieni - stwierdziła Heidi. - Widzisz, Jamy - ciągnęła, zwracając się do przyjaciółki - muszę po prostu dużo się uczyć, aby samej pracować w tej szkole.

Kiedy doszli do Dorfli, Piotrek poszedł wprowadzić kozy do obórki, zaś Heidi i Jamy popędziły w stronę domu. Na progu czekał na nie doktor. Czule uściskał Heidi, a Jamy powitał przyjaznym uśmiechem. Heidi natychmiast zażądała nowin o dziadku i uradowała się ogromnie słysząc, że jest zdrowy i ma się dobrze. Doktor tak zaplanował wyprawę, aby sprawili mu niespodziankę, przybywając rano na halę.

Brygida przygotowała kolację składającą się z sera i suszonego mięsa, a Piotrek przyniósł dzbanek świeżego, koziego mleka. Niebawem wszyscy zasiedli do posiłku.

- Jedz Piotrusiu - powiedziała doń matka. - Musisz być bardzo głodny.

Chłopiec usiadł przy stole i nałożył sobie na talerz duży kawał sera. Podczas kolacji prawie nie odzywał się. Za to Heidi miała tyle do opowiedzenia o życiu w szkole i drobnych przygodach w podróży, że nikt nie zwrócił uwagi na jego milczenie. Wieczór upłynął niezwykle szybko.

Wczesnym rankiem zbudziły Jamy dźwięki pieśni rozlegające się na wiejskim placu.

- To musi być Piotrek! -

zawołała. Wskoczyła z łóżka i podbiegła do Heidi stojącej przy oknie. Zobaczyły kozłarza o policzkach zaróżowionych w porannym słońcu, idącego pod górę w otoczeniu małej, koziej armii. Trzasnął batem i podniósł do ust róg. Z otwartych drzwi obórek wybiegały inne kozy i dołączały do stada.

- Spieszcie się, spieszcie, jeżeli chcecie iść razem z doktorem i Piotrkim! Ubierajcie się prędko! - popędzała dziewczynki Brygida.

- Zaraz będziemy gotowe - powiedziała Jamy, sznurując stanik koszuli. - Chciałabym, żeby pasterz zaśpiewał dziś dla mnie całą piosenkę.

Dziesięć minut później doktor, Jamy i Heidi przyłączyli się do Piotrka i jego stada, w którym teraz znajdowały się wszystkie kozy z Dorfli.

Piotrek zadał w róg i ruszyli pod górę. Delikatne, poranne chmurki przesłaniały jeszcze niebo, a górskie powietrze, świeże i słodkie, chłodziło twarze podczas wspinaczki. Im wyżej wchodzili, tym piękniejsze roztaczały się widoki. Od czasu do czasu Piotrek spoglądał ukradkiem na Heidi, sprawdzając, czy szkoła jej nie zmieniła. Uśmiechał się zadowolony, gdy stwierdzał, że wygląda wciąż tak samo.

Dla Jamy wszystko dokoła było nowe i nieustannie zadawała pytania: to o wieczne śniegi, a to o nazwy napotykanych kwiatów. Nade wszystko zaś interesowały ją orły, o których Heidi tak często opowiadała.

Nagle doszli do zakrętu ścieżki i znaleźli się na wprost chaty dziadka.

- Jest dokładnie taka, jak mówiłaś! - zawołała z radością Jamy i w podnieceniu mocno uścisnęła koleżankę. Heidi jednak ujrzała już dziadka i uwolniwszy się z objęć przyjaciółki, puściła się pędem

w jego stronę.

- Dziadku! Dziadku! -  
zawołała. Jestem w domu! Twoja  
wnuczka jest w domu!

Starzec odwrócił się na ławce,  
przetarł dłonią oczy, chcąc się  
upewnić, że mgła nie przestania  
mu wzroku. Najpierw rozpoznał  
doktora. Potem zobaczył Heidi i  
twarz rozjaśnił mu uśmiech, a  
łzy szczęścia potoczyły się  
jedna za drugą po pomarszczonych  
policzkach. Dziewczynka już była  
przy nim i wyściskała mocno,  
zanim przedstawiła Jamy,

- Jak ci się podoba moja  
niespodzianka? - spytał doktor,  
ściskając dłoń starego  
przyjaciela. - Obie przyjechały  
tu na miesiąc. Wiem, że Heidi  
będzie chciała pobyc trochę z  
tobą, ale później mają zamiar  
pójść na górne pastwiska.

- Ach! To doskonale! -  
ucieszył się dziadek. - Chodź  
Piotrek, wydój moje kozy i  
zrobimy sobie coś do jedzenia.

Heidi już usadowiła się obok  
dziadka na ławeczce i czule  
przytuliła głowę do jego  
ramienia.

- Czy wiesz - powiedział  
staruszek, głaszcząc jej miękkie  
włosy - czy wiesz, że najmilszym  
dla mnie dniem jest wtorek,  
kiedy Piotrek przynosi mi twój  
list. Jakże jestem szczęśliwy,  
że cię widzę! Powiedz mi, czy  
ciągle masz zamiar uczyć w  
Dorfli po skończeniu szkoły? Czy  
to prawda, że chcesz pozostać ze  
mną?

- Oczywiście, dziadku -  
odparła z uśmiechem Heidi. -  
Chcę pozostać w Dorfli przez  
resztę mego życia.

Jamy obrzuciła ją dziwnym  
spojrzeniem, jakby chciała  
powiedzieć: "Zmienisz swoje  
zamiary", ale Heidi była zbyt  
szczęśliwa, by cokolwiek  
zauważyć. Tylko Piotrek je  
przechwycił i wyczytał z niego  
nawet więcej, niż Jamy miała na  
myśli.



Doktor pozostał z dziadkiem,  
aby dotrzymać mu towarzystwa,  
podczas gdy dziewczynki  
wyprawiły się na pastwisko.  
Niebawem dotarli do miejsca,  
gdzie Piotrek pasał stado. Był  
to mały, zielony płaskowyż,  
wystający nieco ze zbocza, z  
którego rozciągał się widok na  
całą dolinę. Tutaj chłopiec  
spędzał długie godziny,  
wpatrując się w dal i  
pogwizdując od czasu do czasu,  
gdy kozy szczypały słodką trawę.

Dziś starannie umieścił swój  
obiad w wykopanej przez siebie  
małej ziemiance i przekonał  
dziewczynki, żeby zrobiły to  
samo. Potem wyciągnął się na  
trawie, ciesząc się słońcem i  
czystym powietrzem.

3 3 64 0 2 108 1 ff 1 74 0  
Niebo było ciemnoniebieskie.  
Wszędzie dokoła wystrzelały  
wysokie, górskie szczyty,  
błyszczące od śniegu i lodu; zaś  
w dole, w głębokiej dolinie,  
ciągle jeszcze leżały poranne  
cienie. Heidi i Jamy, siedząc  
obok siebie na tym płaskim  
wzniesieniu, czuły na twarzach  
uderzenia wiatru, ostre i  
chłodne. Ponad ich głowami, po  
błękitnie nieba, krążyły ptaki.

Beksunia, nowa pupilka  
Piotrka, podeszła do dzieci i  
ocierała się łebkiem, wydając  
przy tym przyjazne pobekiwania.  
Jedna za drugą podchodziły i  
inne kozy, by zawrzeć przyjaźń.  
Jamy była w siódmym niebie.

Buraska, ciemniejsza z dwu kóz  
dziadka, oglądała każdego z  
osobna z lekkim niepokojem.  
Potem stanęła nieruchomo i  
wpatrywała się w obecnych,  
dopóki jej nie powiedziano:  
"Tak, tak Burasko, wszystko w  
porządku. Możesz wrócić do  
stada".

Piotrek wymieniał imiona  
wszystkich kóz i Jamy nie mogła  
się nadziwić, jak udaje mu się  
je odróżnić. Te kozie imiona  
wydawały się trudniejsze do  
zapamiętania, niż szkolna lekcja  
historii.

Kiedy już wszystkie kozy  
zostały przedstawione,  
rozpoczęły zabawę. Białaska i  
Szczygiełka rzuciły się na  
Piotrka i bodły go tak długo,  
dopóki nie rozciągnął się na  
trawie jak długi. Grzmotka,  
matka Beksuni, była szalenie  
dumna. Zbliżała się do obcych na  
odległość kroku i oglądała ich  
tak, jakby chciała powiedzieć,  
że nie będzie żadnych  
poufałości, a potem oddalała się  
dostojnym krokiem.

Turek - najstarszy kozioł w  
stadzie i dlatego przekonany o  
swej ważności - bódł rogami  
kozy, usuwając je w ten sposób z  
drogi. Następnie stawał i głośno  
beczał, aby podkreślić, że to on  
jest przywódcą stada i będzie  
wszystkich trzymać krótko. Jedna  
Beksunia nie pozwalała sobą  
pomiać. Kiedy wielki, szary  
kozioł podchodził do niej,  
chowala się za Piotrką. Tam  
czuła się zupełnie bezpiecznie,  
lecz gdy spotykała Turka  
samotnie, to drżała na całym  
ciele.

I tak minął słoneczny poranek.  
Piotrek wyjął swój obiad i  
zajadał go w milczeniu, wsparty  
na pasterskiej lasce.  
Dziewczynki rozpakowały prowiant  
przygotowany przez dziadka i też  
zabrały się do jedzenia.

Po posiłku Piotrek zdecydował,  
że wypróbuje nowe wejście na  
wyższe zbocze, na które chciał  
po południu przeprowadzić swoje  
stado. Wybrał ścieżkę z lewej  
strony, bo tam znajdowała się  
łąka z małymi krzaczkami, które  
kozy sobie szczególnie  
upodobały. Podejście było  
strome, zwłaszcza na samej  
górze. Także wzdłuż obrzeża  
skały znajdowało się kilka  
niebezpiecznych miejsc. Ale  
Piotrek dobrze znał góry i miał  
nadzieję, że kozy będą szły za  
nim posłusznie, nie rozbiegając  
się na boki.

Szedł przodem, a dziewczęta  
ostrożnie za nim. Kozy  
pokonywały trudne miejsca bardzo  
łatwo i wspinały się jedna za

drugą. Malutka Beksunia trzymała się blisko pasterza. Od czasu do czasu chwycił ją za skórę na karku i podciągał po skalnej stromiźnie. W końcu wszyscy bezpiecznie doszli na łąkę i stado zaczęło skubać ulubione trawy i krzewy.

Jamy wstrzymała oddech w piersi, kiedy wreszcie znalazła się na szczycie czegoś, co wydawało się zupełnie odrębnym światem. Czegoś tak pięknego nie mogła sobie nawet wyobrazić. Powietrze przepętniał zapach alpejskich kwiatów, które rosły tu wszędzie: górskie storczyki, gencjany o postrzępionych płatkach, małe, niebieskie dzwoneczki dzikich hiacyntów, pierwiosnki i żonkile. Zebrała dla siebie cały bukiet skalnych, złocistych wdówek.

- Zwiędną ci, zanim doniesiesz je do domu - powiedziała Heidi.  
- Ale jeśli chcesz, to dziadek ci je zasuszy.

Patrzyła, jak Jamy zbiera inne jeszcze kwiaty do fartuszka i przypomniała sobie, że robiła kiedyś to samo na tej właśnie górze. Jej bukiet też szybko wówczas zwiędł i stracił swe wspaniałe barwy.

- Ostrożnie, ostrożnie, tutaj - upominał Piotrek kozy. - Bądźcie spokojne i nie popychajcie jedna drugiej, bo zaraz któraś znajdzie się na dnie przepaści z połamanymi nogami. Szczygiełko, a dokąd ty się wybierasz - zawołał, spoglądając w górę.

Szczygiełka wdrapała się na stromy skalny występ, pod którym była tylko głęboka przepaść. Stała tam i zerknęła na kozłarza z wyzwaniem, jakby mówiła: "Widzisz, jaka jestem odważna! Potrafię stanąć przy samej krawędzi!" Jeszcze jeden ruch i zwierzę spadnie! Piotrek wdrapał się tak szybko, jak potrafił - w kilka sekund dosięgnął występu, chwycił niesforną Szczygiełkę za jedną nogę i ściągnął z powrotem. Heidi znajdowała się tuż za nim, pamiętając, że ta

właśnie koza zawsze sprawiała mu kłopoty. Razem trzymali zwierzę, dopóki chłopiec nie upewnił się, że zajmie się skubaniem trawy, a nie kolejną niebezpieczną eskapadą.

- Ale gdzie się podziała Beksunia? - zawołała Jamy. Grzmotka, matka maleństwa, stała zupełnie sama, wpatrując się w brzeg stromizny. Jamy już się zorientowała, że kozłatko jeśli nie było przy Piotрку, to trzymało się blisko matki.

- Co zrobiłaś z dzieckiem, Grzmotko? - spytała Heidi ze strachem, podbiegając do kozy.

Grzmotka zachowywała się dziwnie. Nie jadła trawy, tylko stała, nasłuchując z wysuniętymi do przodu uszami.

Piotrek spojrział w dół. Usłyszał dochodzące z głębin słabe, smutne beczenie... wątlę, piskliwy głosik proszący o pomoc.

- Nie płacz Beksuniu, już idę po ciebie! - zawołał chłopiec tak, jakby zwracał się do dziecka. Wyciągnął się jak mógł najdalej na brzuchu i spojrział ponad brzegiem urwiska. Daleko w dole coś poruszało się. Po chwili zobaczył swą małą pupilkę zwisającą z gałęzi wyrastającej ze skalnej szczeliny. Kozłatko żałośnie beczało. Gałąź złagodziła jego upadek, ale jeśli się złamie, to zwierzę spadnie i rozbije się o skały.

Drżąc z niepokoju, Piotrek zawołał: - Trzymaj się Beksuniu! Trzymaj się gałęzi! Schodzimy po ciebie!

Ale jak tam dotrzeć? Chłopiec natychmiast spostrzegł, że z tego miejsca nie ma żadnych szans na zejście. Zbocze skały było wręcz idealnie gładkie i nie dawało żadnego oparcia stopom. Heidi wskazała poniżej, na skałę, którą nazywali "deszczową skałą", ponieważ oboje często znajdowali tam schronienie w czasie burzy. Może Piotrek dostanie się do Beksuni,

jeżeli zaczniesz wspinać się  
stamtąd.

3 3 64 0 2 108 1 ff 1 74 1  
Był to dobry pomysł i chłopiec  
bez wahania ruszył ścieżką w  
dół.

- Jamy pilnuj kóz. Idziemy  
ratować Beksunię! - zawołała  
Heidi, biegnąc za nim.

Zauważyła, jak bardzo  
przywiązany jest do koźlęcia,  
dlatego modliła się z całego  
serca: "Dobry Boże, proszę Cię,  
pomóż Piotrkowi uratować małą  
Beksunię".

On zaś odważnie wspinał się po  
zboczu ani razu nie spoglądając  
w dół, dopóki nie znalazł się w  
pobliżu gałęzi. Tutaj oparł  
mocno obie stopy o skałę i  
wyciągnawszy rękę chwycił drżące  
ze strachu zwierzę i podał  
stojącej w pobliżu Heidi.

Kiedy wrócili na łąkę, Piotrek  
nie posiadał się z radości, a  
Heidi odmówiła modlitwę  
dziękczynną. Potem usiedli na  
trawie, aby pieszczotami  
uspokoić przestraszone koźle.

Nadeszła pora zejścia do domu,  
więc poszli z powrotem do Jamy,  
pilnującej resztę stada. Bardzo  
była z siebie dumna, bo żadna z  
kóz nie oddaliła się z  
bezpiecznej łąki.

Na dźwięk rogu koźlarza  
wszystkie kozy wyruszyły w  
drogę. Beksunię niósł Piotrek na  
ramieniu. Był tak szczęśliwy, że  
odśpiewał w całości swą ulubioną  
piosenkę. Uradowana Jamy  
oświadczyła, że prosi go bardzo,  
aby śpiewał ją ciągle od  
początku, by mogła nauczyć się  
słów na pamięć.

Heidi miała załatwić coś  
dziadkowi we wsi, poszły więc  
obie ze stadem aż do Dorfli.  
Tutaj pasterz zatrzymał stado  
obok wiejskiej studni i znowu  
zagrał na rogu. Natychmiast z  
różnych stron zaczęły nadbiegać  
dzieci i oddzielać swoje kozy od  
innych. Z okolicznych domów  
wychodziły kobiety; jedna wzięła

swoją kożę za rogi, druga  
zawiązała swojej sznurek na szyi  
i nie wiadomo kiedy, nie  
pozostało po stadzie ani śladu.

Piotrek rozstał się z  
dziewczynkami i śpiewając  
poszedł do domu. Heidi  
załatwiła, co miała do  
załatwienia i obie z Jamy  
zaczęły wspinać się z powrotem  
na górę. Całą drogę rozmawiały  
wesóło i wychwalały Piotrka pod  
niebiosą.

## VIII. Umowa z Gerardem

### Rozdział VIII

#### Umowa z Gerardem

- Dziadku - poprosiła Heidi,  
gdy wieczorem usiedli do  
kolacji. - Czy nie zechciałbyś  
opowiedzieć Jamy jednej z tych  
wspaniałych historyjek?  
Obiecałam jej, że przed powrotem  
do szkoły będzie znała prawie  
tyle samo starych legend co ja.

- Te podania są bardzo długie  
- odrzekł dziadek - a wy macie  
za sobą ciężki dzień na  
pastwisku. Zachowam moje  
opowieści na deszczowe dni. Poza  
tym - dodał - coś mi mówi, że  
jutro będzie padało.

Halny Stryjek rzadko się mylił  
w przepowiadaniu pogody. Tak  
więc następnego ranka, choć  
niebo było czyste, Piotrek  
wyszedł trzymając pod pachą  
deszczowiec, a dziewczynki  
pozostały w domu.

Około południa ciężkie chmury  
zasnuły niebo i rozpętała się  
burza. Koźlarz znalazł  
schronienie dla siebie kóz jak  
zwykle pod "deszczową skałą". Ku

swemu zdziwieniu zastał tam innego pasterza, choć bez stada. Był to Gerard z Ragaz. Obaj chłopcy stali przez chwilę zaskoczeni, lecz zaraz powitali się serdecznym "cześć!"

- Nie wiedziałem, że przychodzisz z kozami aż tutaj - powiedział przybysz do Piotrka.

- Tylko czasami - odparł Piotrek. - Zwykle pozostaję na pierwszym pastwisku albo gdzieś w pobliżu. A czego ty tu szukasz?

- Chciałem się z tobą zobaczyć. Mam wziąć od ciebie dwie kozy i zaprowadzić je do Ragaz na sprzedaż.

- To twoje kozy? - zapytał Piotrek.

- Pewnie, że należą do nas. Ja nie pasę kóz dla kogoś. Już nie jestem pastuchem - oznajmił z dumą Gerard.

Piotrek zdziwił się. Skoro raz mianowano Gerarda pasterzem, to jak mógłby przestać nim być. Jeszcze słyszy, że on uważa to zajęcie za mało ważne a nawet wstydlive. Zaniepokojony chłopiec zaczął się zastanawiać, czy szkolna koleżanka Heidi nie sądzi tak samo.

Podczas gdy chłopcy gawędzili, chmury rozeszły się i znowu zaświeciło słońce. Piotrek uznał, że to właściwa pora na obiad. zaproponował koledze, aby zjadł z nim razem. Rozmawiając doszli do ziemianki z jedzeniem i koźlarz wyciągnął woreczek z kanapkami z szynką i serem. Zamiast stołu mieli płaski kamień; zasiedli przy nim i zaczęli zajadać z apetytem.

Po obiedzie wypili po kubku świeżego, koziego mleka. Gerard wyciągnął się na trawie, a Piotrek siedział nieruchomo, wpatrując się w głąb doliny.

- Czym się zajmujesz, jeśli już nie jesteś pasterzem? - zainteresował się Piotrek. - Każdy przecież musi coś robić.

- Jasne, że coś robię i to dobrze - odrzekł Gerard. - Sprzedaję jajka. Codziennie roznoszę je po okolicznych oberżach, zapuszczając się najdalej jak tylko mogę. Dostarczam je również do hoteli.

Piotrek potrząsnął głową ze wzgardą.

- I co to za praca? Ja tam nie chciałbym sprzedawać jajek. Tysiąc razy więcej wolę być pasterzem. To dużo lepsze zajęcie.

- Dlaczego? - zapytał Gerard.

- Jajka nie są żywe. Nie chodzą za tobą cały dzień tak jak kozy. Nie cieszą się na twój widok, gdy przychodzisz wyprowadzić je rano. Nie ocierają się o ciebie i nie rozumieją wszystkiego, co do nich mówisz - odpowiedział Piotrek i dodał: - Nie możesz przecież kochać swoich jajek, jak ja kocham moje kozy.

- No dobrze, ale co z tego masz? - przerwał mu Gerard. - Zaledwie parę groszy tygodniowo - nie więcej. A podczas jedzenia podnosiłeś się ze sześć razy tylko dlatego, że to małe, nieposłuszne koźle mogło spaść ze skały. Czy to zabawne?

- Jasne, że tak - pośpiesznie odparł Piotrek. - Ja to robię z własnej chęci, prawda, Beksuniu? Twoje małe nóżki są jeszcze niepewne i taka jesteś malutka. Odprowadził znowu swoją pupilkę od krawędzi skały i gdy wrócił na miejsce, Gerard zauważył:

- Jest inny sposób na to, żeby powstrzymać kozy przed upadkiem ze skały i nie trzeba przy tym za nimi biegać.

- A cóż to za sposób?

- Trzeba wkopać kij w ziemię i przywiązać do niego kozę za nogę. To prawda, że nie będzie tym zachwycona, ale nie ruszy się z miejsca!



- Jak możesz sobie wyobrazić, że zrobiłbym coś podobnego tej małej kózce! - zawołał oburzony Piotrek. Przyciągnął Beksunię do siebie i objął ją mocno ramionami, jakby chciał ochronić ją na zawsze przed takim okrucieństwem.

- No, nie będziesz się musiał o nią już długo troszczyć - ciągnął Gerard. - Jeszcze tylko kilka dni.

- Co takiego! Skąd o tym wiesz? - zawołał przerażony pasterz.

- Bah! Skąd o tym wiem! - przedrzeźniał go Gerard. - Nauczyciel nie chce jej hodować. Jest zbyt słaba i nie wyrośnie nigdy na wartościową kozę. No i hotelarz z Mayenfeld kazał mi ją przyprowadzić w przyszłym tygodniu.

Piotrek zbladł. Początkowo nie mógł wymówić słowa, a potem wybuchnął z rozpaczą.

- Nie! Nie! Nie ośmielą się tego zrobić! Tylko nie Beksunia! Oni tego nie zrobią! Ja im nie pozwolę. Nie! To niemożliwe!

- Posłuchaj mnie - powiedział Gerard obracając go twarzą do siebie. - Jeśli tak ci zależy na tym koźleciu, to może mógłbym namówić mego ojca, żeby je kupił. Ale najpierw musisz zrobić coś dla mnie. I Gerard wyciągnął rękę z czymś, co przykrył drugą dłonią. Coś zaślśniło między jego palcami, gdy padł na nie promień słońca.

- Co to jest? - zainteresował się chłopiec.

- Zgadnij!

- Pierścionek? - spróbował Piotrek.

- Nie, ale coś podobnego. Znalazłem to na ścieżce wychodzącej w górę z Mayenfeld.

- To znaczy, że nie należy do ciebie - stwierdził koźlarz.

- Dlaczego nie? Nie zabrałem tego nikomu. Wczoraj niemal na to nadepnąłem wracając do domu. Mogłem przecież złamać. Skoro udało się nie zniszczyć, to myślę, że mogę go sobie zatrzymać.

- Ale ktoś go zgubił, więc powinieneś wywiesić ogłoszenie - upierał się Piotrek.

- Nie, tego nie zrobię! - zawołał Gerard zaniepokojony postawą kolegi. - No popatrz tylko, popatrz na to! Prawdziwe złoto! Sklepikarz we wsi chętnie kupi, jeśli mu zanieziesz. Możemy podzielić się pieniędzmi i nikt o niczym się nie dowie.

- Nie zrobię tego - powiedział bez namysłu Piotrek. - Zapominasz, że Bóg w niebiosach słyszy i osądza wszystko, co mówisz.

Gerard podniósł oczy ku niebu.

- Z takiej wysokości? - powątpiewał. Zaczął jednak mówić przyciszonym głosem.

- On i tak cię słyszy - stwierdził z przekonaniem Piotrek.

Po tym Gerard\_ignorant poczuł się nieswojo i pożałował swych zwierzeń, ale już było za późno. Musiał znaleźć inne wyjście z trudnej sytuacji.

- Piotrek - powiedział nagle. - Poproszę ojca, by kupił Beksunię, jeżeli obiecasz nikomu nie mówić o tej sprawie. Wtedy nauczyciel nie sprzeda jej hotelarzowi na mięso.

Gerard otworzył zaciśniętą dłoń i Piotrek zobaczył leżący na niej gruby, złoty krzyżyk. Zdawał sobie sprawę, że jest cenny i na pewno ktoś go szuka. Przeżywał silną, duchową rozterkę. Wiedział, że jeśli nikomu nie powie, to będzie współnikiem nieuczciwego czynu. Z drugiej jednak strony była mała Beksunia, której grozi nóż rzeźnika. Może zapobiec temu tylko swoim milczeniem.

Koźlę podeszło i położyło się u boku chłopca. Spoglądało mu ufnie w twarz przekonane, że on zawsze stanie w jego obronie. Piotrek nie mógł pozwolić, by to maleństwo zginęło. Życie kózki jest warte więcej niż pieniądze za złoty krzyżyk. Może uratować beksunię płacąc milczeniem.

- Niech będzie, zgadzam się - oświadczył pośpiesznie.

- Dobra, daj rękę! - Gerard wyciągnął dłoń do kolegi, aby uściskiem przypieczętować umowę. Wydawał się zupełnie zadowolony z dobitcia targu. Piotrek nie przejawiał chęci do rozmowy, więc Gerard mając długą drogę przed sobą, ruszył do domu ze swymi kozami. Kiedy zniknął w dali, koźlarz zebrał swoje stado i zaczął schodzić w dół. Tym razem nie gwizdał ani nie śpiewał - szedł, całą drogę pogrążony w myślach.

## IX. Wewnętrzna walka

### Rozdział IX

#### Wewnętrzna walka

Rano Piotrek przeszedł przez wioskę milczący i przygaszony. Przywołał kozy i skierował się na górskie łąki bez jednego gwizdu, bez jednego radosnego okrzyku. Wspinał się z opuszczoną głową, jakby się czegoś bał i oglądał się od czasu do czasu sprawdzając, czy kto nie idzie jego śladem.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego czuje się taki przybity i nieswój. Cieszyło go, że uratował życie Beksuni i chciał śpiewać jak zawsze, ale słowa

pieśni zamierały mu w gardle.  
Niebo przystończyły chmury i  
chłopiec uznał, że jest smutny,  
ponieważ dzień wypadł posępny i  
szary. Przekonał sam siebie, że  
gdy tylko słońce wyjdzie zza  
chmur, to i on poweseleje.

Skoro tylko doszedł do łąki,  
rozpadało się na dobre. Znalazł  
schronienie pod "deszczową  
skałą" i patrzył na  
nieprzeniknioną ścianę deszczu.  
Wokół grzmiało, a błyskawice  
przecinały niebo zygzakami.  
Stłoczone przy nim kozy starały  
się wtulić pod skalny nawis.  
Szczygiełka, taka zawsze  
delikatna, pragnąc uchronić  
Isnącą sierść przed zmoczeniem,  
ułożyła się przy pasterzu. Z  
tego bezpiecznego miejsca  
przyglądała się spokojnie  
strugom wody. Beksunia stała tuż  
obok swego opiekuna i obrońcy  
pocierając łebkiem o jego  
kolana. Patrzyła zdziwiona jego  
milczeniem, gdyż po raz pierwszy  
nie zwracał uwagi na swą  
pupilkę. Białaska również  
drapała się kopytkiem za uchem i  
pobekiwała, jakby chciała  
powiedzieć: "Przez cały ranek  
nie odezwałeś się do nas ani  
słowem".

Głęboko zamyślony Piotrek stał  
oparty na pasterskim kijku.  
Zawsze nosił go ze sobą, tak jak  
to robią pasterze owiec.  
Szczególnie przydatny był  
podczas deszczu, bo służył do  
podpierania się na śliskiej,  
stromej ścieżce. Biedny chłopiec  
stracił zupełnie poczucie czasu.  
Przez wiele godzin stał pod  
skałą w oczekiwaniu lepszej  
pogody i rozważał daną Gerardowi  
obietnicę. Im dłużej o niej  
myślał, tym bardziej był  
przekonany, że stał się  
współwinny, bo sprzedał  
milczenie koledze, który  
przywłaszczył sobie cudzą  
własność. Zrobił coś, czego  
robić nie powinien i teraz nawet  
Bóg będzie przeciwko niemu.  
Ogarnęła go skrucha i wyrzuty  
sumienia. Bał się też, że gdyby  
Beksunia znowu spadła ze skały,  
to tym razem Pan Bóg nie  
przyjdzie mu z pomocą. Runą  
oboje w głęboką przepaść i za

karę roztrzaskają się na kawałki.

- Nie! Nie! To się nie może zdarzyć! - wykrzyknął na głos, gdy przed oczami stanął mu wyraźnie taki obraz. - Powiem o tym - zdecydował w końcu, lecz znowu zobaczył nóż rzeźnika nad głową Beksuni. I ta scena była równie plastyczna jak poprzednia.

Ulewa wzmagała się i wraz z nią rósł ciężar na duszy chłopca. Tak minął cały dzień. Wieczorem Piotrek wrócił do domu milczący podobnie jak rano. Heidi i Jamy czekały na niego i przybiegły do obórki.

- Piotrek, co się z tobą dzieje? - zapytały. - Dlaczego nie śpiewasz?

Odwrócił się do nich i rzekł ponuro: - nie mogę - po czym poszedł prędko swoją drogą, nie patrząc za siebie.

- To bardzo dziwne, że nie śpiewa i nie gwizdże. Coś musiało mu się przydarzyć - stwierdziła Jamy.

- Pewnie ten okropny deszcz popsuł mu humor - zdecydowała Heidi. - Albo irytuje go twoja obecność, bo nie ma mnie wyłącznie dla siebie. Kiedyś czuł coś takiego do Klary, gdy nie mogła chodzić. Tak się rozłościł, że zepchnął jej wózek inwalidzki w przepaść. Ale wtedy był małym chłopcem i później szczerze tego żałował. Myślałam, że już wyrósł z tych humorów.

- To jest przecież tylko pasterz, koźlarz - powiedziała Jamy.

Oczy Heidi zapłonęły.

- To jest Piotrek! - oświadczyła z naciskiem. Jeżeli nawet ma ataki złego humoru, to nie chcę, by się zmienił. Tak samo nie chciałabym zmieniać dziadka - dodała. - Oni są częścią mego życia tutaj w Dorfli... i ja... ja ich kocham.

Jamy spojrzała na nią z podziwem. Czy Heidi zdaje sobie sprawę z tego, co mówi? Co za temperament! I jaka niezwykła lojalność i przywiązanie do swoich bliskich.

Następny dzień był posępny tak jak poprzedni. Niebo zaślaniały gęste chmury. Piotrka w dalszym ciągu dręczyły wyrzuty sumienia. Siedział na tym samym kamieniu pod skalnym nawisem i myśli jego krążyły wokół jednego tematu. Gdy tylko zdecydował się opowiedzieć o złotym krzyżku, natychmiast miał przed oczami rzeźnika przykładającego nóż do cienkiej szyi Beksuni - i wszystko zaczynało się od nowa.

Pod wieczór był tak zmęczony rozmyślaniami, które niczego nie rozwiązało, że szedł do domu powoli, zupełnie nie zważając na ulewny deszcz. Stojący w drzwiach swego domu dyrektor szkoły krzyknął do niego szorstkim głosem, jakim zwykle zwracał się do swoich uczniów.

- Chodźże szybciej z tymi zwierzętami! Już i tak są całe przemoknięte. Dlaczego wleciesz się żółwim krokiem? Jak tak dalej pójdzie, ludzie poszukają sobie innego koźlarza, któremu spokojnie powierzą swoje kozy!

Piotrka zraniły te słowa. Nowy koźlarz? I do tego przy obórcie dziadka zatrzymała go Jamy i zapytała: - "Piotrku, czy ty zamierzasz paść kozy przez całe życie"?

Następnego dnia rozpogodziło się i znowu zaświeciło słońce. Piotrkowi wydawało się, że Pan Bóg patrzy na niego wprost z głębi błękitu niebios. Przypomniał sobie radę niewidomej babki. Dawno temu, kiedy po raz pierwszy wyruszył na pastwisko, babka odciągnęła go na bok i powiedziała łagodnym, spokojnym głosem: "Pamiętaj Piotrku, tam na hali jesteś bardzo blisko nieba. Bóg zobaczy i usłyszy wszystko, co zrobisz i powiesz. Niczego przed Nim nie ukryjesz. On tam jest

również bliżej ciebie i może ci pomóc. Gdy jesteś daleko i nie masz kogo zawołać w razie złej przygody, to zwracaj się do Niego. On cię usłyszy i na pewno przyjdzie z ratunkiem".

Tak więc wreszcie stało się jasne dla Piotrka, co powinien zrobić.

- Przebacz mi Beksuniu - powtarzał raz po raz, pomagając kózce pokonać trudną drogę z pastwiska. - Dobry Boże! Muszę mieć pewność, że postępuję słusznie, ale proszę Cię, proszę, nie pozwól Beksuni umrzeć!

Kiedy chłopiec zatrzymał się przy chacie dziadka, staruszek spojrzął na niego z głęboką troską.

- Co się z tobą dzieje nieszczęśliwy kozi generale? Heidi mi opowiada, że straciłeś głos.

- Muszę coś wyznać - powiedział Piotrek spuszczać głowę.

- No to mów, zrzuć ciężar z serca - zachęcał Halny Stryjek.

- Coś zostało znalezione - wykrztusił z trudem Piotrek.

- Co znalezione? - zawołała Jamy wstając od stołu, przy którym właśnie zaczęli jeść kolację. - A ja coś zgubiłam... mój śliczny, złoty krzyżyk!

- To właśnie znalezione - stwierdził Piotrek.

- Co ty mówisz? Czy to był taki gruby, złoty krzyżyk na aksamitnej wstążeczce? - upewniała się Jamy.

- Tak, był - odparł chłopiec tym samym obojętnym głosem.

- Czy go masz? Gdzie on jest? Daj mi go! Gdzie go znalazłeś? - wyrzucała z siebie jednym tchem Jamy.

- Ja go nie znalazłem -

wyjaśnił Piotrek. - Lecz Gerard z Ragaz.

Jamy chciała natychmiast dowiedzieć się wszystkiego i zaproponowała, żeby od razu posłać kogoś po Gerarda.

- Wolę pójść po niego sam - stwierdził Piotrek. - Myślę, że nawet powinienem to zrobić. Jeśli go jeszcze ma, to ci przyniosę.

- Jeśli jeszcze ma? Ale dlaczego mógłby nie mieć? - wykrzyknęła dziewczynka. - Co by z nim zrobił? Gdzie i jak go znalazł i skąd ty o tym wiesz?

Piotrek jednak wbił tylko wzrok w ziemię i milczał. Wówczas Heidi odciągnęła go na bok i jej opowiedział całą prawdę.

- Najdroższy Piotru - rzekła, gdy skończył - a więc babka do tej pory nam pomaga! Gdyby nie jej słowa zachowałbyś tajemnicę, prawda że tak?

- Owszem - wyznał chłopiec. - Mógłbym to zrobić, bo teraz Beksunia zostanie zabita.

Heidi uśmiechnęła się. - Czy nigdy nie zamierzałeś jej kupić? Nie lepiej mieć własne kozy niż paść cudze? Prawie każdy mieszkaniec w Dorfli ma własne kozy.

Piotrek zastanawiał się nad tym przez chwilę. Do Gerarda wyprawił się w głębokiej zadumie. Jamy obiecała znalazcy nagrodę przewyższającą sumę, którą by uzyskał ze sprzedaży krzyżyka.

Kiedy Gerard dowiedział się, że kolega go wydał, był początkowo bardzo rozgniewany. Wiadomość o nagrodzie ułagodziła go i oddał krzyżyk bez oporów. Było już za późno, by wspinać się z powrotem na górę, zabrał więc Piotrek krzyżyk do domu.

Zanim położył się do łóżka, starannie przeliczył wszystkie swoje pieniądze. Nie miał nawet



połowy tego, ile trzeba będzie zapłacić za kozę. Dyrektor szkoły był twardym człowiekiem i na pewno od niego zażąda tyle samo co od hotelarza.

Chłopiec postanowił, że w przyszłości będzie oszczędzał, by kupić sobie kozy, tak jak mu radziła Heidi. Tylko, że to już będzie za późno, by uratować Beksunię.

Wczesnym rankiem pojawił się w chacie dziadka i milcząc wręczył Jamy jej pamiątkę, a potem poszedł na pastwisko. Wrócił późnym wieczorem i dziewczynka wybiegła mu na spotkanie.

- Piotruku, dlaczego ciągle jesteś taki smutny? - spytała.

Piotrek smętnie pokiwał głową.  
- Myślę o moim kozłeczku - powiedział. - Jak długo pożyje jeszcze moja mała Beksunia? Jamy ujrzała na jego twarzy taki wyraz rozpacz, że postanowiła nie ukrywać dłużej swej niespodzianki.

- Czy wiesz Piotruku, jaką sprawiłeś mi radość? - spytała.  
- Gdyby nie ty, Gerard nigdy nie zwróciłby krzyżyka. Dlatego i ja pragnęłam coś dla ciebie zrobić. Dzisiaj gdy byłeś na pastwisku, poszliśmy z Heidi do dyrektora szkoły. Chciałam dać ci nagrodę i pomyślałam, że najlepszą będzie mała Beksunia. Możesz ją zabrać ze stada, bo należy do ciebie!

Przez chwilę chłopiec nie mógł ze zdziwienia wydobyć głosu z gardła i milcząc wpatrywał się w Jamy. Potem oprzytomniał i dziękował jej stokrotnie, a także Heidi, która przyznała się do tego pomysłu.

Schodząc z kozami stromą ścieżką w dół, Piotrek śpiewał i nigdy dotąd śpiew nie sprawiał mu tyle zadowolenia. Jego głos unosił się nad doliną nabrzmiały radością. Słońce świeciło jasno na błękitnym niebie. Po trzydniowym deszczu trawa stała się bardziej zielona i świeższa, a wszystkie kwiaty wabiły oczy

jaskrawymi barwami. Chłopcu wydawało się, że nigdy przedtem góry, dolina i otaczający go świat, nie były tak piękne. Czuł, jak ogromne szczęście rozpiera mu serce.

Było dość wcześnie, gdy Piotrek wrócił do wsi ze swym kozim oddziałem. Brygida usłyszała jego okrzyki, zanim dotarł do domu.

- Ona jest moja! Beksunia należy do mnie!

W pierwszej kolejności przygotował swej pupilce miękkie pośłanie w obórce. Potem przyszedł do kuchni i jedząc z apetytem, opowiedział matce o wydarzeniach. Brygida cierpliwie wysłuchiwała długiej opowieści i na koniec rzekła:

- Piotrusiu, zapamiętaj te ostatnie godziny na całe życie. Pozwól, by zawsze kierowało tobą sumienie. Postąpiłbyś słusznie i tym razem, myśląc najpierw o ludziach, którzy ci zaufali, a potem o swojej kózce.

Zanim położył się spać, poszedł jeszcze do obórki, by się upewnić, że Beksunia jest tam na pewno. Trudno mu było uwierzyć w uśmiech losu, który mu przypadł w udziale i w to, że kózkę stało się jego własnością.

`tt

X. Pożar na górze

Rozdział X

Pożar na górze

Wysokie, dostojne jodły nie śpiewały jak zwykle i nie chwiały się w podmuchach wiatru.

Stały nieruchomo w ciszy  
martwego powietrza. Góra  
upstrzona była dziwacznie  
plamami fioletowo\_różowego  
światła i czarnymi cieniami.  
Lodowiec na szczycie lśnił w  
słońcu zimnym błękitem.

Tego ranka Piotrek kręcił się  
z niepokojem przy chacie  
dziadka.

- Heidi! Jamy! - zawołał i  
dwie głowy pojawiły się  
natychmiast w małym oknie.

- Dzień dobry Piotrku! -  
przywitały go. - Nie krzycz tak!  
Dzisiaj nie pójdziemy z tobą na  
hale. Schodzimy do wsi.

- Bardzo was proszę -  
odkrzyknął chłopiec. - Tak  
czekałem na was. Kozy są  
wyjątkowo niespokojne i boją  
się, że coś się stanie. Ty Heidi  
zawsze potrafiłaś je uspokoić.

Jednak dziewczynki roześmiały  
się tylko. - artowały sobie i w  
końcu zaczęły rzucać w pasterza  
czym popadło. Z okna poleciały  
pledy, prześcieradła, szczotka  
do włosów, fartuch, a nawet  
bucik. Oburzony takim  
traktowaniem chłopiec odszedł,  
głośno pogwizdując dla okazania  
obojętności.

Heidi i Jamy miały dużo zajęć  
w domu i dochodziło już  
południe, gdy zauważyły, że znad  
doliny płynie fala dusznego  
powietrza, a niebo zasnuły  
chmury. Po obiedzie dziadek dał  
im różne sprawy do załatwienia  
we wsi.

- Najpierw powiecie doktorowi,  
że wszystko jest w porządku i  
dacie Brygidzie te dwa sery.  
Jeden jest dla Piotrka. Wstąpcie  
do Bertholda i spytajcie, czy  
mój kosz jest gotowy, a potem  
kupcie u piekarza dwa funty  
soli. Tak dbacie o kozy, że dla  
nas prawie jej nie zostało.

Mówiąc to, staruszek uważnie  
przypatrywał się górcom, a potem  
dolinie, w której wszystko  
zdawało się spoczywać pod grubą  
zasłoną mgły.

- Dzisiaj będzie burza. Góry wyglądają groźnie - mruknął do siebie. Potrafił odczytywać nawet te znaki pogody, które umykały uwadze innych.

- Jeżeli zaczniesz się wcześniej  
- zostańcie na noc we wsi.  
Doktor przyjmie was z radością.

- Ależ dziadku, zostałbyś  
wtedy zupełnie sam -  
zaprotestowała Heidi.

- Nie martw się moje dziecko.  
Dobry Bóg zatroszczy się o mnie.

Stał na progu, patrząc jak dziewczynki wesoło zbiegają w dół po wąskiej ścieżce. Kiedy dotarły do szczytu wysokiego pagórka, odwróciły się i pomachały mu rękami, a on też odpowiedział kiwnięciem. Nie opuścił swego stanowiska, dopóki dwie małe plamki nie dotarły do wioski. Wtedy odwrócił się i zaczął obchód dokoła domu. Wszystko było w najlepszym porządku i czystości. Zatrzymał się na chwilę i popatrzył na jodły, które tak lubił ze względu na muzykę Heidi.

- Dlaczego dzisiaj wydają się  
jakieś inne? - zastanawiał się.  
- Takie obce i dalekie.

Góra płonęła niezwykłym, fioletowym światłem. W miarę zbliżania się zmierzchu ciemniał przezroczysty błękit lodowca. I nagle jodły zaszumiały niespokojnie. Zadygotały od korzeni do najwyższych gałęzi, a jednocześnie w powietrzu nie wyczuwało się najłżejszego powiewu. Na zachodzie, hen daleko za doliną, niebo było czarne. Nawet światło słoneczne zamgliło się, jakby przechodziło przez grube szkło.

Dziadek nie martwił się o siebie, lecz o przebywającą we wsi Heidi. - Burza na pewno rozpęta się przed nocą - pomyślał. - Oby doktor zatrzymał dziewczynki u siebie!

Piotrek zszedł z pastwiska wcześniej niż zwykle i zawołał:

- Stryjku! Chodź tu i popatrz!  
Spójrz, jak dziwnie zachodzi  
słońce.

- Dobry dzień, kozi generale!  
- powitał go dziadek. - Już z  
powrotem?

- Kozy są niespokojne.  
śnieżulka pierwsza puściła się  
na dół, a reszta poszła za nią.  
Nie mogłem ich powstrzymać.  
Wyglądają na przestraszone.

- Czują burzę w powietrzu -  
powiedział Halny Stryjek. -  
Spiesz na dół i powiedz swojej  
matce, że Heidi i Jamy mają u  
was zanoćować.

- Ależ Stryjku, nie możesz  
zostać tylko z kozami! -  
zaprotestował chłopiec.

- Jestem do tego  
przyzwyczajony - odparł dziadek  
niecierpliwie. - Idź szybko i  
rób, co ci powiedziałem.

Piotrek, który dotąd nie  
wyzbył się dziecięcego respektu  
przed starym człowiekiem z gór,  
odwrócił się i pobiegł, a za nim  
podążyło stado.

We wsi dziewczynki skończyły  
załatwiać dziadkowe polecenia i  
wstąpiły do pastora, który  
zawsze okazywał Heidi wiele  
życzliwości. O wpół do piątej  
znalazły się przy domu doktora,  
czekającego już w drzwiach.

- Wejdźcie szybko dziewczuszki -  
zawołał. - Herbata już czeka.  
Brygida upiekła górę ciasteczek  
tak wysoką, że będziecie musiały  
zaprosić kogoś do pomocy przy  
jedzeniu!

- Nie ma obawy! Nadchodzi  
Piotrek! Teraz możemy usiąść  
wszyscy razem i zabrać się do  
sprzątnięcia tych pyszności.

Doktor, patrząc na  
uszcześliwioną twarzyczkę Heidi,  
zauważył: - Górskie powietrze  
przywróciło ci dawny, zdrowy  
wygląd i znakomity apetyt. Nie  
żałujesz, że cię oderwałem od  
lekcji muzyki?

- Czy żałuję? Drogi doktorze, oczywiście że nie. Tu jestem szczęśliwsza niż gdziekolwiek indziej - i na chwilę oparła mu głowę na ramieniu spoglądając w oczy, aby mógł się przekonać, jak zupełnie jest jej szczęście.

Po herbacie Brygida zapakowała resztę ciasteczek do małego koszyczka i wręczyła go Heidi mówiąc: - To dla twego dziadka.

- Musimy zbierać się do domu - zaczęła Heidi, ale Piotrek jej przerwał.

- Dziś nie wróćcie na halę - oświadczył. - To polecenie dziadka. Przewidział burzę i macie pozostać z nami.

- Burza! - wykrzyknęła Jamy - ale przecież niebo jest niebieskie! Chyba coś ci się przyśniło.

- Niebo było niebieskie, gdy przyszłyście - zauważył Piotrek, stając przy drzwiach i wskazując ręką. - Popatrz tylko! Gdy rozmawialiśmy przy ciastkach, zmieniło kolor.

- Ja i tak pójde na górę - oświadczyła Heidi. - Nie boję się burzy i nie zostawię dziadka samego.

- Ale on tak kazał - nastawał Piotrek. - Powiedział, że mam przekazać doktorowi...

- Dziękuję ci chłopcze. Będziemy posłuszni dziadkowi, prawda Heidi? I bez dyskusji, ponieważ doskonale wiemy, że on ma rację - rozstrzygnął doktor.

- Ale - zaczęła znowu Heidi.

Pod zdziwionym spojrzeniem ojca chrzestnego, zawstydzona dziewczynka spuściła oczy.

Wieczorem wszystko wokół poczerniało i Dorfli wyglądała jak wioska cieni. Zdawało się, że domy przygniotła olbrzymia pokrywa, a w ciężkim powietrzu trudno było oddychać. Na zachodzie od czasu do czasu pojawiały się błyskawice, ale

nie było słychać grzmotów.  
Mieszkańcy wsi z niepokojem  
obchodzili swoje domy i inne  
zabudowania, sprawdzając czy  
wszystko jest dobrze pozamykane.  
Bardzo często zdarzało się, że  
pioruny powodowały pożary i  
biedne zwierzęta ginęły w  
płomieniach, nie mogąc się  
wydostać. Tym niemniej stary  
zwyczaj pozostawał i mieszkańcy  
Dorfli zamykali przed burzą  
obory i stajnie.

W domu doktora Heidi i Jamy  
przygotowały się do snu  
wcześniej niż zwykle, bo chciały  
wyruszyć w góry o świcie razem z  
Piotrkiem. Najpierw jednak  
wysłuchały wiejskich nowinek i  
plotek opowiedzianych przez  
Brygidę. Okazało się, że wiele  
rodzin odnosiło się niechętnie  
do dyrektora szkoły.

- Cieszę się, że Piotruś już  
nie chodzi do szkoły -  
oświadczyła Brygida z  
westchnieniem. - Kozy nie zrobią  
mu krzywdy.

- Czy ta szkoła jest aż tak  
zła? - spytała Jamy. - Czy nie  
można zmienić nauczyciela?

- To nie takie proste -  
wtrącił doktor. - Dzieci są  
rozpuszczone. Żaden nauczyciel  
nie poradzi sobie z nimi.

- Ja bym sobie poradziła -  
powiedziała spokojnie Heidi.

Wszyscy roześmieli się, tak  
ich rozbawiła myśl o małej Heidi  
kierującej taką szkołą. Ona sama  
już nic więcej nie powiedziała,  
choć rozmowa interesowała ją  
ogromnie.

Doktor kiedyś prosił Heidi,  
aby przyniosła skrzypce, gdyż  
nie słyszał jej gry, odkąd  
wróciła z pensji. Dziś wzięła je  
wciąż ze sobą.

- Na pewno zagram bardzo źle,  
bo dawno nie ćwiczyłam -  
powiedziała wstydliwie.

- Będziemy wyrozumiałą i  
życzliwą publicznością - obiecał  
jej doktor.

Dziewczynka uniosła w górę smyczek i zaczęła grać. Nie był to jednak żaden z wyuczonych w szkole utworów. Tę pieśń słodką i dziką poznawali oboje z Piotrkim. Brzmiąca w niej muzyka jodeł; wysokie tony jęczały i gwizdały.

- Burza weszła mi do skrzypiec  
- oświadczyła odkładając instrument. - Posłuchajcie! Już się zaczęła.

Na górze wiatr przedzierał się przez jodły i modrzewie, a potem zatrzęsły się i zatrzeszczały wiejskie domy. Pierwsze uderzenie gromu przetoczyło się po dolinie jak głos bębnow. Powoli zamarło w oddali, aby powtórzyć się po raz drugi, trzeci... Przez pół godziny gromy huczały i trzaskały jeden za drugim. Heidi i Jamy przytuliły się do doktora, wpatrując się w okno, podczas gdy Brygida z Piotrkim spoglądali z niepokojem w drugie. Nagle ktoś przebiegł ulicą wioski krzycząc: "Pożar! Pożar na górze!"

Heidi gwałtownie pobladła i rzuciła się do drzwi, a za nią pobiegli doktor i Jamy. Brygida pomknęła za dziewczynkami, niosąc zapomniane przez nie płaszcze. Zaczęło padać i grzmoty jakby się oddaliły. Wysoko na górze błyskały płomienie. Heidi nie miała żadnych wątpliwości. Płonęła chata dziadka!

Kilku mężczyzn przyłączyło się do doktora, który wspinał się ścieżką wiodącą na halę; w rękę trzymał swoją czarną walizeczkę.

- Nic nie zdołamy zrobić - powiedział jeden z wieśniaków. - Już jest za późno.

- Mimo wszystko możemy dojść w porę - stwierdził drugi. - Idziemy doktorze. Ja pójdę za panem z dzbankiem kawy dla Stryjka gdyby.... Urwał, lecz wszyscy zrozumieli, co miał na myśli.



Przez moment Heidi zastygła w bezruchu jakby skamieniała, a potem rzuciła się pędem w górę, wołając: - Dziadku! Dziadku!

Biegła bez wytchnienia, wyprzedzając wszystkich, krztusiła się szlochem, lecz oczy miała suche. Cały czas powtarzała: - Dziadku! Och dziadku! - Nie patrzyła pod nogi, potykała się o kamienie, kilka razy upadła. Podnosiła się i biegła dalej, nie widząc przed sobą niczego poza strzelającymi w górę płomieniami. Ktoś chwycił ją za ramię i starał się przekrzyczeć szum ulewy.

- Heidi! Widziałem wysoki cień poruszający się przed ogniem. To był twój dziadek, jestem tego pewien! - I Piotrek stanął niemal bez tchu po długim biegu. Heidi szarpnęła go za ramię.

- Czy to prawda, to co mi powiedziałeś? - Widziałeś cień przed płomieniem?

- Tak Heidi - wykrztusił chłopiec. - Widziałem, mam bardzo dobry wzrok.

Heidi pobiegła znowu w górę, ciągnąc za sobą chłopca. Wspinali się teraz nieco wolniej, bo i ona zaczęła tracić oddech.

- Piotrek, czy coś słyszałeś?  
- zapytała.

- Nie, nic - odparł. - Tylko grzmoty i deszcz. - Po chwili usłyszeli tupot małych kopyt; pojawiły się przed nimi dwa ciemne kształty i stanęły jak wryte.

- Kozy! - krzyknęli oboje jednocześnie.

Znowu pospieszyli naprzód i wkrótce znaleźli się blisko chaty, tak że mogli widzieć płomień i tryskające wysoko w niebo snopy iskiei. Strach znowu ścisnął serce Heidi.

- Piotrek! Gdzie jest dziadek?

- Widziałem go przechodzącego

na tle ognia - upierał się  
chłopiec. - Chodź, poszukamy  
wyżej.

W końcu znaleźli go pod  
jodłami. Był smutny i osłabiony.  
Spoglądał na zgliszcza domu, w  
którym przeżył tyle długich lat.  
Tu przyszła do niego Heidi,  
przynosząc ze sobą całą radość  
świata w małych, dziecięcych  
rączkach! A teraz wszystko  
przepadło. Czuł się obdarty z  
tego, co było mu bliskie i  
drogie.

- Bóg zabrał mi gniazdo. Mam  
nadzieję, że i mnie wkrótce  
zabierze - myślał ze smutkiem.  
Nie widział Heidi, dopóki nie  
rzuciła mu się na szyję.

- Moje biedne dziecko -  
powiedział.

Przez chwilę dziewczynka  
szlochała głucho w głębokiej  
rozterce między radością, że  
znalazła go żywego, a smutkiem,  
że w jego oczach widzi tyle  
ból. W końcu dziadek wymamrotał  
łamiącym się głosem: - Ja też  
powinienem zginąć.

Słyszając to, Piotrek  
wyprostował się na całą wysokość  
i uczył, że dotychczasowy jego  
lęk przed Halnym Strykiem  
przemienił się w głębokie  
współczucie dla staruszka. Musi  
koniecznie poprawić jego  
samopoczucie ze względu na  
Heidi.

- Pomogę ci Stryku odbudować  
chatę - oświadczył - a na  
przyszły rok zaśpiewamy razem:

"Wysoko w górach stoi nowa  
chata@ Jean odważny i wierny,@  
zbudował ją sa\_a\_m!@ Wysoko w  
górach stoi nowa chata."@

Dziadek uśmiechnął się. W tej  
samej chwili na polance pojawił  
się tłum ludzi ze wsi. Pierwszy  
jednak był doktor.

- Mój drogi przyjacielu -  
powiedział pogodnie - szkody nie  
są zbyt wielkie, skoro tobie nic  
się nie stało. Chodź zaraz do  
mnie, a jutro zrobimy plany

nowego domu, większego i wygodniejszego. Co myślisz o tym, żeby Heidi miała własny pokój, zamiast łóżka na stryżku jak dotąd?

- Heidi to się spodoba - rzekł dziadek i wydawał się zupełnie pocieszony.

## XI. Koniec wakacji

### Rozdział XI

#### Koniec wakacji

Nazajutrz dziadek, doktor i Piotrek z kozami wyprawili się na halę. Zatrzymali się przy zgliszczach, aby popatrzeć, co zostało z chaty i zanim zaszło słońce, już mieli gotowe plany odbudowy. Kilka dni później dziadek z Piotrkim i dwoma pomocnikami ze wsi pracowali przy nowym domu.

Kiedy zakończono pracę, nawet dziadek nie żałował, że stara chata padła pastwą płomieni. Ten nowy, ładny domek w niczym nie przypominał dawnej siedziby samotnika. Była w nim duża sypialnia dla dziadka, jeszcze większy pokój dla Heidi i wygodna kuchnia. Ponadto bawialnia, która mogła służyć jako pokój gościnny, gdy przyjedzie Klara z ojcem jak zwykle pod koniec lata.

Dziadek uratował z płomieni sporo rzeczy. Krzeselko Heidi, jej małe łóżeczko, wielki miedziany czajnik do ogrzewania sera nad ogniem, stół i wiele innych sprzętów, które sam zrobił w warsztacie przy kuchni.

Teraz miał warsztat wygodny, osobno stojący. Białaska i

Buraska dostały również nową obórkę. Ale najważniejsze było to, że nowy dom został zbudowany na miejscu starej chaty i te same jodły szumiały mu pieśni. Z okna pokoju Heidi roztaczał się dobrze znany widok - góra Falknis z ośnieżonym szczytem, a u jej stóp - wioska Dorfli.

Już nie musimy nawet schodzić w dół - zauważył dziadek, patrząc w zadumie na dolinę - Dorfli sama wspina się ku nam.

Tak to wyglądało. Domki budowano coraz wyżej i wyżej na górskim zboczu. Nie byli tak całkowicie pozbawieni sąsiedztwa, chociaż ich nowy dom stał ciągle ponad innymi - jak orzeł wsparty na skale.

- Ależ dziadku - zaprotestowała Heidi - nie zamierzasz chyba pozostawać tu przez okrągły rok jak dawniej?

- Dlaczego nie miałbym tego robić? Kiedy skończysz szkołę, zamieszkaś ze mną.

Heidi pomyślała o zimie, wspaniałym śniegu i długich zjazdach sankami po zboczu góry. Na nartach mogłaby też dostać się bez trudu do wsi. Lecz zawsze pozostawała uciążliwa wspinaczka w drodze powrotnej.

- Doktor będzie się czuł samotny - próbowała innego argumentu.

- On ma Piotrka i Brygidę.

- Nie będą z nim zawsze. Piotrek planuje w najbliższym czasie przebudowę domu matki. Ponadto gdybym uczyła w szkole, to jak mam tu wdrapywać się zimą?

- Zobaczymy, zobaczymy - to było wszystko, co jej odpowiedział.

Heidi wiedziała, że pragnął tylko jednego: aby była z nim tak długo, póki będzie żył.

Mieszkali w nowym domu od trzech dni i wszystko układało

się pomyślnie. Dziadek urządził sobie wygodnie jeden pokój, Heidi i Jamy - drugi. Bawialnia, czy to co dopiero miało być bawialnią, ciągle stała pusta. Dziadek wytrwale krzątał się w swym warsztacie przygotowując nowe meble, które Jamy wydawały się najpiękniejszymi, jakie kiedykolwiek widziała, ręcznie rzeźbionymi sprzętami. Tego samego zdania była Heidi.

Przyglądała się właśnie, jak dziadek dopasowuje dwie części kanapki do ramy siedzenia, gdy nagle Jamy podbiegła do drzwi, wskazując na coś ręką.

- Heidi! Heidi! - zawołała. Ktoś wspina się na górę. Minęli ostatni dom we wsi, więc na pewno idą tutaj!

- To pan Sesemann i Klara! - krzyknęła radośnie Heidi. - Więc jednak poznasz Klarę. To dzięki niej pojechałam do szkoły w Rosiaz.

- A dzięki tobie, jak słyszałam, Klara znowu chodzi - odparła cicho Jamy. - Popatrz, jak szybko wspina się pod górę!

- Postawię czajnik na ogniu; zrobimy sobie ucztę pod jodłami - zdecydowała Heidi.

Kiedy już powitała przyjaciół z Frankfurtu, zbiegła na dół z wiadomością dla Piotrka, bo żadna uroczystość nie mogła obyć się bez niego. Piotrek, doktor i Brygida nie ociągając się ruszyli na halę. Brygida na szczęście upiekła świeżą porcję ciasteczek i przyniosła razem z solidnym kawałkiem kielbasy ze spiżarni doktora.

Ziemię pod jodłami pokrywał miękki dywan z igliwia. Na nim postawiono stół i ławeczkę, a z drugiej strony trzy krzesła.

- Nigdy nie widziałam takiego przyjęcia - wykrzyknęła Klara, kiedy już wszystko było gotowe. - Potrzebny jest tylko Sebastian by podawać...

- I panna Rottenmeier, by

wszystko popsuć - wtrąciła Heidi chichocząc.

Podczas posiłku rozmawiali głównie o pobycie Heidi we Frankfurcie. Wspominano ze śmiechem kataryniarza, kocięta i wszystkie te incydenty, które pozbawiały pannę Rottenmeier spokoju ducha. Tyle mówiono o przeszłości, że Jamy wyznała, iż zaczyna tęsknić za Mopsem, szkolnym kotem.

- Miałam nadzieję, że weźmiesz skrzypce i pojedziesz ze mną do Paryża na dalsze studia - powiedziała zasmucona Klara. Omawiali właśnie plany powrotu Heidi do Dorfli jako nauczycielki.

- Mogę grać również tutaj - odparła przyjaciółka. - W Paryżu tęskniłabym za domem. Dziadek wystarczająco długo przebywał sam. Nie namawiaj mnie Klaro, bo już podjęłam decyzję. Pozostanę tu na zawsze i możesz, kiedy zechcesz, przyjeżdżać do mnie w odwiedziny. W Dorfli jestem szczęśliwa i dlatego pragnę mieszkać w niej do końca życia.

- No cóż, niech i tak będzie - oświadczyła Klara z rezygnacją. Znała Heidi na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie zmieni raz podjętej decyzji.

Sierpniowe wieczory były niezwykle piękne. Przez cały tydzień Klara ani razu nie przepuściła okazji oglądania zachodu słońca. Zazwyczaj Heidi, Jamy i Piotrek chodzili razem z nią wysoko na skały. Często towarzyszyli im doktor z panem Sesemannem. Lubili słuchać, jak Heidi gra tam na skrzypcach, a reszta młodych śpiewa przy wtórze czarownej muzyki. Mieli wrażenie, że te dźwięki przepełniają całą dolinę. Nawet słońce zdawało się zachodzić w harmonii z tym, co grała Heidi. Zawsze też zbyt prędko zniknęło za różowującymi górami. Gdy ostatnie promienie płonęły na szczytach, wszyscy stawali nieruchomo, tak że z domu dziadka, stojącego niżej, wyglądali jak cienie na tle

ognistego blasku.

Wieczorami zbierali się w obszernej kuchni nowego domu i słuchali niezwykłych, wspaniałych opowieści dziadka.

- Jeszcze jedną historię, błagam - zawsze prosiła Klara, gdy nadchodziła pora rozejścia się do łóżek. Staruszek przeważnie rozpoczynał nową gawędę.

Tak mijało lato. Jamy uważała, że opowieści dziadka są o niebo ciekawsze i zabawniejsze, od tego co ostatnio wyczytała w szkolnych lekturach. Pod koniec wakacji znała historię Szwajcarii, z wieloma pięknymi legendami i alpejskimi pieśniami, niemal równie dobrze jak Heidi i Piotrek. Klara wyjechała obiecując solennie że nic jej nie powstrzyma od przyjazdu tutaj każdego lata. Do tych gór, które przywróciły jej zdrowie i siły, dały odwagę, by śmiało stanąć na nogach.

Na początku września Heidi i Jamy powróciły do szkoły. Liście na drzewach już zaczynały żółknąć. Na początku semestru Mademoiselle Larbey zaplanowała kilka jesiennych wycieczek. Któregoś popołudnia uczennice zwiedzały zamek w Chillou, gdzie przez sześć lat więziono Bonivarda. Zobaczyły tam ścieżkę wydeptaną w kamiennej podłodze maleńkiej celi, w której przykuto go łańcuchem do ściany. Heidi napisała o tym do dziadka i wstrząsnęła nią jego odpowiedź, że takich cel było wiele. - Dotąd jeszcze istnieją w więzieniu w Dorfli - pisał.

Dotychczas Heidi uważała istnienie więzienia w Dorfli za słuszne i niezbędne. Teraz wydawało jej się, że to bezlitosne i okrutne. Zastanawiała się, jacy ludzie tam przebywają.

- Kiedy powrócę do domu - oznajmiła swym koleżankom - to muszę coś zrobić z tym więzieniem. Ludzie nie powinni przebywać w klatkach jak

zwierzęta. To niesprawiedliwe.

- A co masz zamiar zrobić? -  
pytały ją ze śmiechem. -  
Będziesz grała więźniom na  
skrzypcach?

- Naturalnie - odparła. -  
Dlaczego nie?

Dziewczęta żartowały sobie z  
niej i nazywały ją dzielnym,  
małym krzyżowcem.

- Heidi będzie pocieszać  
więźniów!

- A dziewczęta w Dorfli uczyć  
szycia i robienia na drutach!

- A chłopców czytania...

- I wyjdzie za mąż za tego  
małego pastucha - zakończyła z  
sarkazmem Eileen.

- Czy takie życie byłoby złe?  
- zapytała Jamy z nutą smutku w  
głosie. - Ja bym chętnie  
zamieniła swoje na coś  
podobnego.

Nawet Eileen, która zawsze  
patrzyła na Heidi z góry,  
zaczęła być trochę zazdrosna,  
słuchając opowieści o wakacjach  
w Dorfli. Kiedy zaś Heidi po  
zakończeniu szkoły wróciła do  
domu, towarzyszyły jej najlepsze  
życzenia wszystkich koleżanek.

## XII. Rozbita doniczka

### Rozdział XII

#### Rozbita doniczka

Pewnego letniego wieczoru, gdy  
ostatnie promienie słońca  
oświetlały szczyty Falknis,  
Heidi siedziała przy oknie swego



pokoju. Serce miała przepelnione  
tęsknotą i oczekiwaniem. A  
przecież pragnęła jedynie  
pozostać tu, aby każdego  
wieczoru przyglądać się potędze  
i wspaniałości gór oraz aby  
muzyka jodeł i modrzewi kołysała  
ją do snu. Kochała swego dziadka  
i była z nim szczęśliwa.  
Dlaczego więc czuła się samotna?

Błądziła myślami bardzo  
daleko, gdy nagle zobaczyła  
Piotrka idącego z listem w ręku.  
List miał urzędową pieczęć i po  
otwarciu znalazła w nim  
odpowiedź na podanie w sprawie  
pracy w wiejskiej szkole.

- Może właśnie na to czekałam?  
- powiedziała rozpromieniając  
się. - Będę miała jakieś  
zajęcie.

- Przecież i dotąd nie  
siedziałaś beczynnie - zauważył  
Piotrek.

- Wiem, ale zawsze chciałam  
uczyć dzieci.

- Ach, więc tego zawsze  
chciałaś, stwierdził Piotrek i  
odszedł, pozostawiając ją nad  
listem.

Sąsiedzi we wsi radzili jej,  
żeby nie składała podania. -  
Taka szkoła jak ta, to wstyd i  
hańba - mówili. - Nikt nie zdoła  
poradzić sobie z okropnie  
rozpuszczonymi dziećmi, a  
zwłaszcza taka niedoświadczona  
dziewczyna. Heidi jednak  
pamiętała, że kiedyś i Piotrek  
był nieposłuszny, a przecież  
nauczyła go czytać i pisać.  
Jeśli mogła to zrobić wtedy, to  
tym bardziej potrafi teraz.  
Uważała, że gdyby dzieciom w  
szkole okazywano życzliwość i  
rozumienie, to odpowiedziałyby  
tym samym.

Szkoła, w której Heidi chciała  
uczyć, stała tuż u stóp Falknis.  
Pierwszego dnia przyszła tu  
bardzo wcześnie i stanęła przy  
oknie, spoglądając na zielone  
pastwiska, wysokie jodły,  
pofałdowane zbocza wznoszącej  
się naprzeciw góry - jej góry.  
Wodziła wzrokiem po załamaniach

i zakrętach wąskiej ścieżki,  
prowadzącej na halę, aż do domu  
dziadka. Zielona trawa po obu  
stronach ścieżki nie była wysoka  
i bujna jak w dolinie, lecz  
niska, delikatna, słodka i  
przetykana małymi kwiatkami o  
jaskrawych barwach.

Kochała ten widok za oknem. Na  
parapecie stała doniczka ze  
słodko pachnącą rezedą.  
Przyniosła ją z domu na hali.  
Widziała go stąd a także  
dziadka, który z daleka wyglądał  
jak czarna plamka na zielonym  
tle. To dobrze, że jest blisko  
niego; gdyby pojechała do  
Paryża, jak tego pragnęli  
Monsieur Rochat i Klara  
Sesemann, byłaby tak daleko.  
Widziała również przed sobą  
Antosia, nowego pasterza.  
Piotrek miał już swoje stado kóz  
i tymczasem trzymał je w oborze  
doktora.

Ten nowy pasterz, pomyślała  
Heidi, powinien chodzić do  
szkoły. Spojrzała na duży,  
szkolny zegar i stwierdziła, że  
jest spóźniona. Mimo to jej  
klasa okazała się pusta.  
Wszędzie panowała zupełna cisza,  
zmaćcona tykaniem zegara. Na  
dworze nie było widać ani  
jednego dziecka z wyjątkiem  
małego pasterza. Minęła  
dziewiąta, potem dziesiąta.  
Przeszło południe i żadne  
dziecko nie zjawiło się. Po  
południu było tak samo.

- Może dziś jest wolny dzień,  
a ja o tym nie wiem -  
zastanawiała się Heidi. Zaczęła  
zbierać swoje rzeczy,  
zamierzając wyjść ze szkoły, gdy  
usłyszała jakieś głosy. Podeszła  
do okna i zobaczyła całą armię  
dzieci z krzykiem podążającą ku  
szkole.

- Pokaż to! Pokaż to! Jeśli  
tego nie ukradłeś, to dlaczego  
tak chowasz?

- Powiem o tym sklepikarzowi!  
- jeden głos przekrzyczał  
pozostałe. - On cię wsadzi do  
więzienia, a to jest gorsze  
nawet od ciemnicy.

Biegący przodem chłopiec odwrócił się i Heidi dostrzegła w jego oczach wyraz przerażenia. Takie przerażenie odczuwał zapewne więzień w zamku Chillon i dziewczyna oczami wyobraźni zobaczyła znowu wydeptaną w kamieniu ścieżkę. Otworzyła gwałtownie okno i zawołała głośno: - Stójcie! Przestańcie!

- Hej, Chel, popatrz no tam! - wrzasnęło jedno z dzieci. - Z okna patrzy na ciebie nauczycielka! Zobaczysz, co będzie, jak pójdziesz do szkoły! Ona wsadzi cię do ciemnicy!

- O jakiej ciemnicy oni mówią?  
- zastanawiała się Heidi.  
Zdecydowana wyjaśnić całą sprawę, krzyknęła jeszcze raz do dzieci. Chel podniósł głowę, zobaczył ją i znowu się schował. Po chwili ktoś z grupy podniósł kamień i rzucił w stronę okna. Heidi w porę zdążyła się odsunąć. Zamiast w nią kamień trafił w doniczkę i kawałki wypalanej gliny rozleciały się na wszystkie strony.

Piękny krzak rezedy upadł połamany na podłogę. Cała gromada najpierw zamarła, spoglądając w milczeniu, a potem rozbiegła się jak stado wystraszonych wróbli. W szkole zapanowała znowu pustka i cisza.

Zmartwiona Heidi zbliżyła się do okna i pozbierała skorupy. Co spowodowało takie zachowanie dzieci? Czyż dawny nauczyciel przestraszył je do tego stopnia? Może przyczyną jest ta ciemnica? Heidi rozejrzała się wokół. Klasa wyglądała prawie tak samo jak dawniej, lecz ławki były okropnie podrapane, a tablica pęknięta. Pośrodku stał piec; dalej sześć rzędów ławek, po trzy z obu jego stron.

Przypomniała sobie, że dawniej przy chłodnej pogodzie, dzieci gromadziły się wokół ciepłego pieca. Wtedy klasa była miejscem zacisznym i bezpiecznym. Nauczycielka zaś przyjazna i życzliwa. Wraz z nastaniem nowego nauczyciela zapanował strach i Heidi łatwo zauważyła

tę zmianę. Przy najdrobniejszym przewinieniu stosował surowe kary. Lecz czy mógł być tak okrutny, by wsadzać dzieci do ciemnicy, a jeśli tak, to gdzie się ona znajdowała? Szkoła miała jedną klasę i dwa schowki na ubrania po obu stronach nauczycielskiego stołu. Jeden dla chłopców, drugi dla dziewczynek. Heidi otworzyła pierwszy z brzegu i zobaczyła, że zdjęto stamtąd wszystkie wieszaki, a małe okienko zabito deskami.

- To musi być ciemnica! - wykrzyknęła i pospiesznie zamknęła drzwi schowka. Nic dziwnego, że dzieci bały się przychodzić do szkoły.

Nazajutrz izba szkolna znowu była pusta, tak samo następnego dnia. Heidi już się nie dziwiła, ale coś z tym trzeba będzie zrobić. Poczekwała do ranka czwartego dnia i wybrała się do kuratora, który mieszkał w domu stojącym na wielkiej skale.

Tuż przed drzwiami natknęła się nieoczekiwanie na małą, kędzierzawą Germaine Grube, która powinna być teraz w szkole. Dziecko stanęło jak wryte ze zdziwienia. Uniosło ręce do góry gwałtownym ruchem, jakby próbując przykryć szopę potarganych włosów.

- Pani jest nową nauczycielką?  
- wykrztusiła. - Nie powinna mnie pani zobaczyć. Mama tak powiedziała. Ja nie nadaję się do chodzenia do szkoły i do spotykania z panią.

Biedny dzieciak zaczął gorzko płakać w obawie surowej kary za niezbyt schludny wygląd.

- A do tego jeszcze idzie mama  
- wyszłochała Germaine, wskazując kobietę idącą w stronę domu z łopata na ramieniu i koszem suchych liści w ręku. Dwoje małych dzieci trzymało się jej spódnicy, a jeszcze jedna dziewczynka biegła obok, starając się od czasu do czasu chwycić matkę, żeby nie pozostać w tyle.

Kobieta przeszła obok nie zatrzymując się, lecz Heidi zastąpiła jej drogę i zaczęła rozmowę.

- Pani Grube, jestem nową nauczycielką i przyszłam dowiedzieć się, dlaczego dzieci nie chodzą do szkoły.

- Słyszałam, że była tam wielka awantura - odrzekła kobieta, opierając się na łopacie. - Wolę, żeby moje dziewczynki odczekały, aż skończy się bicie. Nie chcę, żeby przyglądały się czemuś takiemu.

- Ależ w szkole nie będzie żadnego bicia - wykrzyknęła Heidi. - Nie zamierzam karać dzieci, które rozbiły doniczkę. Jestem pewna, że stało się to przypadkowo i najlepiej o wszystkim zapomnieć.

- Ale jak się pani dowie - pisnęła Germaine, wyglądając zza matczynej spódnicy - to wsadzi pani Chela do ciemnicy, a my będziemy musieli słuchać jego krzyku.

- Nie wsadzę do ciemnicy Chela ani w ogóle nikogo - oświadczyła stanowczo Heidi. - W tym roku nie będzie ciemnicy. Mam zamiar zrobić tam z powrotem szafę na wasze ubrania.

Zapadła chwilowo cisza, a potem odezwała się kobieta. - Jeśli nawet mówi pani prawdę, to i tak nie poślę dzieci do szkoły. Gdy człowiek pracuje od rana do nocy, nie ma czasu, by je odpowiednio ubrać. Pani nauczycielka spodziewa się, że przyjdą uczesane, umyte i schludnie ubrane. Dawny nauczyciel zmuszał je do przychodzenia. Inaczej bym ich nie posyłała, gdy wyglądały tak, jak wyglądają!

- Mam nadzieję, że nie będę musiała stosować przemocy - powiedziała łagodnie Heidi. - Proszę, niech je pani jutro przyśle, a ja dopilnuję, żeby się umyły i uczesały w szkole.

- Bardzo pani uprzejma -  
wyszeptła kobieta.

Heidi pożegnała ją grzecznie i skierowała się do domu kuratora. Zastała go siedzącego na stopniach ganku i pykającego fajkę z wyraźną przyjemnością. W tym czasie żona przygotowywała mu kolację.

- Przyszłam do pana z prośbą o radę - zaczęła Heidi. - Dzieci nie pojawiają się w szkole i są śmiertelnie przestraszone możliwością zamknięcia ich w ciemnicy. Czy pan wiedział, że poprzedni nauczyciel przysposobił część szatni na więzienie?

- Tak - przyznał chłodno kurator - wiedziałem. Zawsze pozostawiam nauczycielom swobodę wyboru kar.

- Ależ to jest okropne! - krzyknęła Heidi. - To był okrutny człowiek. Okrucieństwo leżało w jego naturze, bo odnosił się w ten sposób do swoich kóz. Uważam, że na dzieci należy oddziaływać dobrocią i życzliwością.

Kurator roześmiał się cierpko.

- Najpierw niech je pani ściągnie do szkoły, to może się uda. Czy pośtać po nie policjanta?

- Dziękuję, nie trzeba - zapewniła Heidi. - Nie wolno ich bardziej przestraszyć. Myślę, że przyjdą z własnej woli.

Rozgoryczona wróciła do domu doktora, gdzie zawsze wstępowała na obiad. Przy stole opowiedziała przyjaciołom o napotkanych trudnościach. Zmartwili się, że nie jest tak szczęśliwa, jak tego oczekiwała.

- Powinnaś - powiedział doktor - posłuchać mojej rady i kontynuować naukę gry na skrzypcach.

- Miałaś takie zdolności do rysunków - dodała Brygida.

- Monsieur Rochat powiedział mi, że nigdy nie będę dobrej klasy skrzypaczką. Jestem również przekonana o braku szczególnego talentu malarskiego. Kim więc mam zostać? - zawołała porywczo Heidi patrząc na Piotrka.

- Nie lubię nauczycieli - stwierdził. I to było wszystko.

- Ależ Piotrku, przecież kiedyś uczyłam cię - nastawała Heidi. - Wszystkie dzieci powinny uczyć się w szkole.

- Bądź cierpliwa i próbuj dalej - radziła życzliwie Brygida. - Mieszkańcy wioski są zrażeni, a dzieci jeszcze przestraszone. I nie słuchaj Piotrusia. To woły wprawiły go w zły humor.

- Ach, więc są już woły?

- Trudniej je utrzymać w karności niż kozy - wyznał Piotrek.

Kiedy Heidi zobaczyła, jak wiezie nowym, zaprzężonym w woły wozem mleko swych własnych kóz na sprzedaż do Mayenfeld czuła, że serce rozpiera jej duma. Cóż lepszego mógł robić chłopiec z górskiej wioski, jeżeli nie hodować kozy i sprzedawać mleko do wyrobu smacznych serów? Gerard, rozwijający z powodzeniem handel jajami, nie próbował nawet traktować Piotrka z wyższością. Dawny koźlarz zaczynał hodowlę od małej Beksuni, którą Gerard uznał za nadającą się jedynie pod nóż rzeźnika. Później, gdy stary nauczyciel opuszczał Dorfli, Piotrek odkupił za własne oszczędności całe jego stadko.

Mimo to chłopiec nie czuł się szczęśliwy we wsi. Wielki dom doktora wydawał mu się zbyt zamknięty i duszę jego przepętniały nieokreślone marzenia. Pragnął powrócić w góry. Oszczędzał pieniądze, lecz gdy rozpoczął rozmowę z matką na temat budowy domu na stoku góry, ta odpowiedziała: - Po co, Piotrusiu? Doktor chętnie gości

nas u siebie.

- Stań niczego nie widać -  
oponował Piotrek. - Na ulicy  
stałe hałas, kozy są z dala ode  
mnie, a ja muszę powozić tymi  
głupimi wołami. Czuję się jak  
przytłoczony jakimś ciężarem.  
Pójdę sobie w góry do Stryjka.  
On wie, co to znaczy być wolnym.  
Tam na górze będę mógł znowu  
oddychać.

Halny Stryjek trwał w uporze i  
postanowił nie schodzić na zimę  
do wioski. Heidi martwiła się o  
niego, dopóki nie usłyszała o  
częstych odwiedzinach Piotrka.

- Prosił, żeby ci przekazać,  
że on ma tam Boga, kozy i jodły  
za towarzystwo - oznajmił - i  
masz się nie martwić. Wcale nie  
jest samotny.

Heidi jednak wiedziała, że  
dziadek jej dobro miał przede  
wszystkim na względzie, a w  
głębi serca tęsknił za  
obecnością wnuczki. Przez  
pierwsze dni roku szkolnego  
zastanawiała się często,  
dlaczego w ogóle zdecydowała się  
zostać nauczycielką.

### XIII. Chel

#### Rozdział XIII

#### Chel

Nazajutrz po wizycie u  
kuratora Heidi przyszła do  
szkoły i zastała tam gromadkę  
czekających dziewczynek. Weszły  
do klasy powoli, chowając się  
jedna za drugą. W końcu któraś z  
nich zapytała: - Nie zbije pani  
tego chłopca, który potłukł  
doniczkę?



Heidi potrząsnęła głową i uśmiechnęła się lekko.

- I nie wsadzi go pani do ciemnicy?

- W szkole nie ma żadnej ciemnicy - stwierdziła nauczycielka. - Teraz tam będzie szatnia. Gdy tylko wstawią okno, zaczniecie wieszać swoje okrycia.

Dziewczynki słuchały jej z zadowoleniem, lecz ciągle jeszcze stały, przebierając palcami, jakby miały coś do powiedzenia. Wreszcie odezwała się mała Germaine. - One chciałyby, aby je pani umyła i uczesała. Powiedziałam, że pani im zaplecie warkocze takie jak swoje.

Heidi roześmiała się z ulgą.

- Bardzo się cieszę - powiedziała. - Nie możecie uważać mnie za bardzo straszną, skoro chcecie mieć tak samo uczesane włosy. Która z was potrafi pleść warkocze?

Sądząc po wyglądzie potarganych główek, żadna nie umiała robić tego jak należy. Wszystkie jednak oświadczyły, że chcą się nauczyć.

- Będzie to więc nasza pierwsza lekcja. Ustawcie się w rzędzie od największej do najmniejszej.

Popychając się i chichocząc dziewczynki wykonały polecenie. Kiedy stanęły już w szeregu, Heidi poprowadziła je do studni i tam wymyła każdej po kolei twarz, ręce i głowę. Potem posadziła uczennice na słońcu, by suszyły włosy, a sama poszła do klasy po grzebień. Kiedy uplotła dwanaście lśniących warkoczy, z dumą spojrzała na swoje dzieło. - Popatrzcie - rzekła - teraz już potraficie robić to same.

Jej wysiłek okazał się owocny. Dziewczynki patrzyły na siebie roześmiane i szczęśliwe, a każda wydawała się odmieniona.

- No a teraz - oświadczyła Heidi, kiedy znowu ustawiły się rzędem - powiem wam pewien sekret. Nie możemy mieć normalnych lekcji, dopóki chłopcy nie zaczną chodzić do szkoły. Odłóżmy więc na razie książki na bok i nauczymy się czegoś innego. Ile z was potrafi robić na drutach i szyć?

Nie podniosła się ani jedna ręka.

- Dobrze więc - zdecydowała nauczycielka - jutro każda przyniesie podartą sukienkę, pończochę czy koszulę i zaczniemy szycie. Te, które będą się starały i dobrze wykonywały moje polecenia, otrzymają w nagrodę grzebień. Teraz możecie iść i spędzić dzień, jak wam się podoba.

Dziewczynki pobiegły ścieżką, spoglądając na siebie i wciąż nie mogąc uwierzyć w okazaną im życzliwość. Po żelaznej i okrutnej dyscyplinie starego nauczyciela, była to naprawdę wielka odmiana.

Szybko rozniosła się wieść, że nowa nauczycielka jest łagodna i dobra, a uczy dziewczynki tego właśnie co trzeba.

Jednak to chłopiec rozbił doniczkę i dlatego nikt z uczniów nie chciał przyjść pierwszy, aby na niego nie padła wina.

Osiem dni trwały lekcje szycia i robienia na drutach. Obietnica dostania własnego grzebienia działała jak czarodziejskie zaklęcie. Każda dziewczynka chciała dostać nagrodę, a kilka szczęściarek już ją otrzymało. Takie zajęcia uzyskały pełne i gorące poparcie ze strony matek, toteż w klasie pojawiały się wciąż nowe uczennice. Heidi złożyła u wiejskiego sklepikarza takie duże zamówienie na grzebyki, że zaczął ją podejrzewać o prowadzenie pokątnych interesów. Gdy otrzymał kolejną listę z wykazem nici, igieł, miar krawieckich,

wełny i innych potrzebnych przedmiotów - był już o tym przekonany.

Heidi miała pełne ręce roboty. Pomagając swoim uczennicom - tej cerowała skarpetkę, innej łątała halkę.

Pewnego razu przed szkołą wybuchła straszliwa awantura. Podbiegła do okna i zobaczyła grupę urwisów obrzucających się wyzwiskami. Wśród nich dwóch mężczyzn usiłowało odciągnąć na bok malca, który bronił się zaciekle kopiąc, gryząc i drapiąc. Obaj mężczyźni nie mogli sobie poradzić, mimo pomocy rozwrzeszczanych chłopców. W końcu pokonany nieszczęśnik wydał rozpaczliwy krzyk, przenikający wprost do serca Heidi. Przedała się przez rozgorączkowany tłumek i rozpoznała Chela, który spowodował owo zamieszanie, zakończone rozbiciem doniczki.

- Cóż on takiego zrobił? - zapytała. - Dokąd chcecie go zabrać?

- Co zrobił? - zawołał jeden z mężczyzn. - Niech pani raczej zapyta, czego nie zrobił! Tym razem zaatakował kuratora, który kazał go ukarać. Przeprowadziliśmy go do szkolnej ciemnicy.

- Nie! Nie! Tylko nie do ciemnicy! - wrzasnął dzieciak. - Powiedziałem wam, że tego nie zrobiłem. Za nic na świecie nie skrzywdziłbym śnieżulki!

- śnieżulki? - zdziwiła się Heidi. - Co ma z tym wspólnego koza kuratora?

- Chel ją zranił - wyjaśnił mężczyzna. - Rzucił kamieniami i złamał jej nogę. Zwierzę nie może chodzić. Kiedy kurator zganił go za to, zaczął rzucać kamieniami i w niego. Musi zostać ukarany!

- Bardzo możliwe - odparła Heidi. - Lecz na pewno nie zostanie zamknięty. Pomieszczenie to pozbawione jest

światła i powietrza, bo okno  
zabito deskami. Nie wsadziłabym  
tam dzikiej bestii, nie mówiąc  
już o dziecku.

- Ale ja tego nie zrobiłem -  
upierał się chłopiec.

- Co w takim razie wydarzyło  
się kozie? - odezwał się  
gniewnie wieśniak. - Nogę ma  
złamaną, nie może chodzić. Leży  
na trawie i drży, a weterynarz  
zjawi się dopiero jutro!

- Biedna śnieżulka! - szepnął  
Chel, który na dźwięk imienia  
kozy zdawał się zapominać o  
własnym położeniu.

- Dlaczego nie wyjaśnisz nam,  
co się stało? - zapytała  
łagodnie Heidi.

Chłopiec pokręcił ze smutkiem  
głową i nic nie odpowiedział.

- Oto co się stało -  
powiedział pierwszy mężczyzna. -  
Kozka zniknęła z pastwiska.  
Późnym wieczorem wróciła do  
obory kulejąca i półżywa.  
Złamaną nogę miała przewiazaną  
szalikiem, w którym chłopcy  
rozpoznali własność Chela.  
Zawinał jej nogę licząc na to,  
że nikt się niczego nie domyśli.

- Nie, to nie było tak -  
przerwał Chel. - Zrobiłem to  
dlatego, by mogła wrócić do  
obory i nie cierpiała tak  
bardzo.

- Słyszycie! Przyznał się, że  
dotykał kozy! - zawołał drugi  
mężczyzna.

- Wiedziateś więc, że kozka  
złamała nogę? - upewniała się  
Heidi, która instynktownie  
uwierzyła w jego niewinność. -  
Jak do tego doszło, skoro nie  
została uderzona kamieniem?

- Ona spadła ze skały - odparł  
ze smutkiem Chel.

Heidi wydawało się to  
prawdopodobne. Przypomniała  
sobie, ile razy kozom groziło  
takie niebezpieczeństwo, gdy  
Piotrek pasał wiejskie stado.

- Jeśli spadła ze skały, to w jaki sposób weszła do góry z powrotem? - zainteresował się jeden z widzów. - Może opatrzyłeś jej nogę na dnie urwiska?

- Zszedłem na dół i pomogłem śnieżulce wspiąć się do góry - odpowiedział Chel.

- Słyszycie, co on wygaduje! - jeden z mężczyzn zwrócił się do gromady. - Nie mogłeś być na łące w pobliżu kóz, bo widziałby cię pasterz.

- On nie potrafi powiedzieć prawdy - stwierdził trzymający chłopca wieśniak. - Chodź chłopcze do ciemnicy.

- Nie! Nie! - krzyknęła Heidi.  
- Ja na to nie pozwolę!

Gdy mężczyzna pociągnął go za sobą, Chel znowu zaczął się opierać. - Ja nic nie zrobiłem - wołał w stronę Heidi.

- On rzucił kamieniem w okno klasy i rozbił nauczycielce doniczkę! - krzyknęło jedno z dzieci.

Nowa fala przerażenia przemknęła po twarzy malca i spojrzał z takim wyrazem, jakby chciał powiedzieć - teraz to już koniec...

- To nie ma nic wspólnego z obecną sprawą - szybko wtrąciła Heidi. - Nikt nie wie, czy rzeczywiście zranił kozę. Nie możemy go ukarać, dopóki nie będziemy mieli pewności. Tymczasem zaś zostawcie chłopca pod moją opieką. Zabiorę go do doktora Reboux, który - jestem tego pewna - chętnie weźmie odpowiedzialność za niego.

Mężczyźni zgodzili się zadowoleni, że pozbędą się kłopotu. Lekcja szycia tego dnia została na dobre przerwana, więc Heidi zwolniła dziewczynki i zabrała Chela do domu. Całą drogę przeszedł w milczeniu, lecz na progu nagle spróbował się wyrwać. Właśnie w drzwiach

ukazał się doktor i Heidi  
oznajmiła pogodnie: - Oto syn  
marnotrawny. Czy przygotował pan  
tłustego cielca na jego  
przybycie? Chłopiec jest bardzo  
wystraszony - dodała  
poważniejszym tonem. - Pewnie  
będzie wdzięczny za miękkie  
łóżko, zaraz po tym jak sobie  
poje trochę chleba z serem.  
Chyba da się to załatwić?

- Spróbuję. Wchodź synu. Nikt  
ci tu nie zrobi krzywdy -  
zapewnił pocziwy doktor. - Masz  
jakieś kłopoty? Porozmawiajmy o  
tym i wyjaśnijmy całą historię.

Chel popatrzył na niego  
wystraszonymi, półdzikimi  
oczami, po czym odwrócił wzrok  
opowiadając tę samą,  
niewiarygodną historyjkę, co  
przed szkołą.

- Chel, czy rozumiesz, że chcę  
ci pomóc? - spytał doktor, gdy  
chłopiec skończył.

- Tak - odparł zapytany - ale  
nie wiem, dlaczego.

- Dlatego, że i ja byłem  
kiedyś chłopcem i wiem, co się  
czuje, gdy postąpiło się źle i  
dręczy lęk przed wykryciem.  
Widzisz więc synu, że możesz  
mówić do mnie tak otwarcie jak  
do ojca. Czy powiedziałeś nam  
prawdę?

Zdziwienie Chela zdawało się  
rosnąć z minuty na minutę.  
Zdawało się, że nie rozumie słów  
doktora. Milczał długo i  
niepewnie spoglądał na jego  
twarz.

- Powiedz mi Chel. Nie bój się  
- nastawał doktor.

I wreszcie, jakby się ocknął z  
jakiegoś snu, chłopiec głęboko  
odetchnął i powtórzył wyraźnie:  
- Tak, powiedziałem prawdę. Nie  
rzuciłem kamieniami w śnieżulkę.  
Jest najpiękniejszą kozą w  
okolicy i nie skrzywdziłbym jej  
za nic na świecie.

- Wierzę ci - odparł pan  
Reboux. - Wciąż jednak czegoś  
nie rozumiem. Oni twierdzą, że

pastuch widziałby cię na łące,  
gdzie pasły się kozy.

- To nie tam się stało.  
śnieżulka spadła z innej strony.

- Dalej nie rozumiem. Koza  
chodziła ze stadem. W którym  
więc miejscu spadła?

Chel nie odpowiedział.

- Widziałeś wypadek? -  
zapytała Heidi.

- Nie, słyszałem tylko  
beczenie w dole na skałach -  
mówił prędko, unikając wzroku  
Heidi.

- No a ty, gdzie wtedy byłeś?  
- zainteresował się doktor.

Chel znowu milczał.

- Posłuchaj - próbowała go  
przekonać nauczycielka. - Pan  
doktor zadaje ci te pytania dla  
twego dobra. Jeśli zdoła  
wszystko wytłumaczyć  
rozgniewanemu kuratorowi, to nie  
zostaniesz ukarany. Gdy zaś  
zrobisz coś złego i szczerze  
żałujesz, dopilnujemy, by ci  
przebaczone. W każdym razie na  
pewno nie pójdziesz do ciemnicy.  
Nikt tam nie będzie siedział,  
dopóki ja będę nauczycielką.

- Tak pani mówi, bo pani nie  
wie, co ja zrobiłem - wymamrotał  
chłopak z oczami utkwionymi w  
podłogę. - To ja rzuciłem  
kamieniem i rozbiłem doniczkę.

- Czy teraz tego żałujesz? -  
spytała.

Skinął głową twierdząco, nie  
podnosząc oczu.

- A więc w porządku. Daj mi  
rękę i spójrz na mnie. Widzisz,  
wcale się nie gniewam. Ponieważ  
okazałeś skruchę, wybaczam ci i  
nie będziemy o tym więcej mówić.  
Sprawa jest skończona i  
zapomniana.

Ciepły blask zapłonął w oczach  
Chela, gdy spojrzał na Heidi.

- Czy nadal nie chcesz

powiedzieć, gdzie byłeś i gdzie spadła koza, by można to wyjaśnić innym ludziom?

Chłopiec spuścił głowę i potrząsnął nią przecząco.

- No cóż, zostawmy to na razie  
- powiedział dobrotliwie doktor.  
- A nuż się rozmyśli, gdy coś zje.

Zawołał Brygidę i poprosił o dodatkowe nakrycie na stole. Kiedy pocziwa kobieta zobaczyła chłopca, spojrzała nań bardzo nieufnie. Słyszała różne, okropne historie o nim i jego ojcu, który był uważany za postrach okolicy.

Gdy wrócił Piotrek i dowiedział się o zranieniu śnieżulki, trudno go było przekonać o niewinności malca.

- Dlaczego go bronisz? - zwrócił się do Heidi. - Jeśli jest niewinny, powinien opowiedzieć całą prawdę.

- Może ma powody do milczenia  
- zauważyła dziewczyna. - Powinieneś to zrozumieć. Tobie również niełatwo przychodziło mówienie. Ten chłopiec bardzo cię przypomina. Mógłbyś takim zostać, gdyby nie matka i ociemniała babka, która uczyła cię tego co słuszne.

- I ty Heidi - dodał Piotrek.  
- Pamiętam, że prosiłaś mnie, abym nie bił kóz, a ja ciągle nosiłem leszczynowe kije, żeby cię dręczyć. Przecież prawie nigdy ich nie używałem.

- Tego chłopca nie trzeba uczyć dobroci dla kóz. On już jest dla nich dobry. Inaczej nie zawiązałby śnieżulce tak starannie nogi. Powinniśmy nauczyć go życzliwości wobec ludzi, co będzie trudniejsze, gdyż byli dla niego okrutni. Ale jeśli ktoś może tego dokonać, to tylko doktor. Czy nie mam racji?

- Myślę, że tak - odparł Piotrek. W końcu on również wydawał się zadowolony z tego, że Chel zostanie na obiedzie.



## XIV. Rozmowa z doktorem

### Rozdział XIV

#### Rozmowa z doktorem

Następnego dnia rano doktor zastał Chela całkowicie pochłoniętego obserwacją wiszącego na ścianie obrazka. Zbliżył się do chłopca, który gwałtownie podskoczył i odwrócił głowę z takim wyrazem twarzy, jakby został przyłapany na niedozwolonej czynności.

- Możesz oglądać ten obrazek, jak długo zechcesz - powiedział uprzejmie doktor. - Podoba ci się?

- Tak, przepiękna jest na nim biel. Wszystkie kwiaty są białe, ale nie wiem, jak się nazywają.

Pan Reboux przez chwilę patrzył w milczeniu na chłopca. Spod dzikiego spojrzenia wyzierało niezwykle uduchowanie, jakby zaskoczono go, gdy klęczał przed ołtarzem.

- Widzę, że potrafisz rozpoznać i docenić piękno - powiedział doktor. - Próbowalesz czasami rysować lub malować?

Chel nie odpowiedział od razu, tylko obejrzał się bojaźliwie. - Czy nauczycielka poszła już sobie? - zapytał szeptem.

- Tak, dziś jest niedziela i wybrała się na górę do dziadka.

- A Piotrek? Piotrek uważa mnie za winnego, wiem o tym.

- Nic podobnego - zaprzeczył doktor. - On po prostu jest

jeszcze młody i niecierpliwy, a w moim wielkim domu czuje się jak ryba wyrzucona z wody. Przyzwyczał się do przebywania z kozami na hali.

- Wiem, co czuje - powiedział Chel i zacisnął wargi w obawie, że powiedział coś, co powinien zatrzymać dla siebie.

- A poza tym - zauważył starszy pan - Piotrek jest bardzo przywiązany do śnieżulki.

- Ja też byłem do niej przywiązany - chłopiec ze smutkiem odwrócił oczy.

Brygida przygotowała bardzo dobre śniadanie dla małego obszarpańca, ale ten jadł bez apetytu.

- Wypij mleko - powiedziała, podsuwając mu bliżej kubek.

- Nie mam ochoty na kozie mleko - odparł - zjem tylko ser.

Po śniadaniu Chel wrócił do swego pokoju i doktor dał mu książkę.

- Muszę pójść do chorego - oświadczył - a ty zostań tutaj do mego powrotu. Nie możesz opuścić domu, dopóki nie wyjaśnimy kuratorowi wypadku z kozą. Taką złożyłem obietnicę, więc widzisz, że ten dom jest właściwie twoim więzieniem.

- Podoba mi się tutaj - zapewnił Chel, rozglądając się z zadowoleniem. Widać to więzienie bardzo przypadło mu do gustu.

- W takim razie obiecaj mi, że zaczekasz na mnie. Możesz czytaniem skrócić sobie czas.

- Nie umiem czytać - stwierdził poważnie Chel, siadając z książką na kolanach.

Po wizycie u chorego doktor pomyślał, że nie zaszkodzi samemu porozmawiać z kuratorem, zanim zacznie zadawać pytania chłopcu. Cała sprawa była bardziej skomplikowana, niż wydawało się na początku.

Chodziło nie tylko o to, kto zranił kozę, lecz kto zranił duszę chłopca i jak można mu pomóc.

Pan Reboux zastał kuratora klęczącego w obórcie przy zranionej śnieżulce. Pomrukiwał coś do siebie i można było zauważyć, że jest bardzo rozgniewany. Na pytanie jak się czuje koza i czy był weterynarz - odpowiedział: - Był, naturalnie, że był. To mnie będzie sporo kosztowało! Niech pan podejdzie i spojrz - skinął na doktora. - Cały czas tak leży na słomie. Biedne zwierzę bardzo cierpi, a ponadto nie daje mleka. Ona lepiej niż inne kozy wie, gdzie znajdować najsmaczniejszą trawę i dlatego ma znakomite mleko, choć nigdy nie dawała go dużo. Mniej od pozostałych, ale za to smakowało jak nektar kwiatowy. A teraz niech pan patrzy, co ten mały zbój z nią zrobił!

- Ma pan na myśli Chela? - upewnił się doktor. - Właśnie w jego sprawie tu przyszedłem. Widzi pan, jestem przekonany, że chłopiec nie skaleczył śnieżulki. On ją kocha i cierpi z powodu tego wypadku. Jestem pewny, że koza skądś spadła, a Chel nie obrzucił jej kamieniami.

- Tak pan myśli? - zawołał kurator, którego gniew wzrastał w miarę, jak pan Reboux usprawiedliwiał chłopca. - Cała dolina zna wybryki tego łobuza. Kłamię, kradnie i rzuca kamieniami! Nie ma tu jednego domostwa, gdzie by się go nie obawiano!

- W moim domu zachowywał się bardzo dobrze - odpowiedział spokojnie doktor.

- Dobrze się zachowywał, co? - prychnął sarkastycznie kurator.  
- Przecież on nie ma pojęcia o dobrym wychowaniu! Na pewno wyuczył się niejednej sztuczki od swego ojca, który zginął podczas któregoś z nocnych wypadów. Nikt nie wie, gdzie się włóczy. A niech no tylko ktoś

każe mu popracować! Wystarczy spojrzeć na te delikatne rączki i od razu wiadomo, że nigdy nic nie robiły.

Złość rozwiązała kuratorowi język. Nigdy dotąd nie był tak elokwentny. Doktor słuchał ze smutkiem potoku oskarżeń. Polubił Chela i chciał go skierować na właściwą drogę. Poza tym wiedział, że Heidi mu zaufała, a ona rzadko myliła się w takich sprawach.

Chel nie powiedział wiele, to prawda, lecz jego charakter wydawał się odmienny od tego, co mówili i myśleli o nim mieszkańcy wsi.

W każdym razie doktor był pewien, że malec nie skrzywdził kozy kuratora. Wyczuwał to i nie wątpił w swoją intuicję.

- Cokolwiek bądź ten chłopiec zrobił, to tym razem osądza go pan niesprawiedliwie - oświadczył stanowczo. - Nie widzę powodu, aby dłużej traktować go jak więźnia. Dlatego zwrócę mu wolność i mam nadzieję, że zacznie chodzić do szkoły.

Kurator nawet nie chciał tego słuchać.

- Heidi - powiedział - nigdy nie da sobie rady z tym chłopakiem. Wiedziałem, że cały ten pomysł z kobietą - nauczycielką źle się skończy. Przekonywałem radę szkolną, ale oni postanowili dokonać zmian. No to je mają. Lekcje szycia! I żaden chłopiec nie chce przyjść do szkoły. Jeszcze tydzień takich eksperymentów i pošlę policjanta, aby ich przyprowadził, bez względu na to co mi Heidi opowiada. Dobrocią można coś zdziałać z dziewczynkami, ale chłopakom potrzebna jest męska ręka.

- Niech mi pan pozwoli zająć się tym dzieckiem na mój własny sposób - poprosił pan Reboux.

- Proszę bardzo! Niech się pan nim zajmuje. Ja umyłam ręce od

całej tej sprawy. - Kurator po tych słowach odwrócił się i poszedł do domu.

Po powrocie do domu doktor zastał Chela pochylonego nad książką, którą mu pozostawił. Na widok opiekuna Chel błyskawicznie schował coś w kieszeni. Na moment zrodziło się w doktorze podejrzenie, szybko jednak je odrzucił. Chel nie mógł schować czegoś, co ukradł w jego domu! Wydawał się szczerze uradowany przybyciem starszego pana.

- Nie jesteś już więźniem - zapewnił doktor. - Powiedziałem kuratorowi, że jestem przekonany o twojej niewinności.

- Czy uda się nastawić nogę śnieżulce tak, aby nie kuląła? - zaniepokoił się chłopiec.

- Tak, był weterynarz - odpowiedział doktor zdziwiony, że Chela bardziej obchodzi koza niż własny los. - Możesz stąd odejść, kiedy zechcesz, ale przychodź wieczorami, ilekroć będziesz miał ochotę. Zacznij też koniecznie naukę w szkole.

Twarz Chela wyrażała obawę, gdy zapytał: - czy muszę iść do szkoły?

- Kiedyś będziesz musiał, więc równie dobrze możesz zacząć teraz. I jeszcze jedno - ciągnął dalej - poszukaj sobie jakiejś pracy, wszystko jedno jakiej. W Mayenfeld są duże gospodarstwa i tam na pewno znajdziesz jakieś zajęcie. Każdy powinien pracować. Staraj się także jeść regularnie i nie włócz się po nocach, bo ludzie są podejrzliwi. Mówię ci to wyłącznie dlatego, żebyś szedł właściwą drogą i by tak nie było, że cokolwiek się wydarzy, wszyscy wołają: "To zrobił Chel!"

Cała radość zniknęła z twarzy chłopca. Wyciągnął do doktora rękę, podniósł oczy pełne smutku i już go nie było.

XV. Piotrek idzie przodem,  
a Heidi za nim

## Rozdział XV

Piotrek idzie przodem,  
a Heidi za nim

Szacunek i podziw dla Heidi rośli w Dorfli niemal z dnia na dzień. Matki i babki otwierały zdumione oczy, widząc jak dzieci wspaniale pracują w szkole. Nowych rzeczy uczyli się zarówno chłopcy jak i dziewczęta. Wszyscy wrócili do szkoły i rozpoczęły się regularne lekcje, gdy tylko rozeszła się wieść, że Chel przyznał się do rozbicia doniczki z rezedą.

Któregoś dnia Heidi weszła do klasy i zobaczyła nową doniczkę z kwiatami, stojącą na zewnętrznym parapecie. Otworzyła okno i do klasy przeniknął delikatny zapach białych, alpejskich fiołków.

- Kto je tu postawił? -  
myślała uszczęśliwiona.

Podejrzewała Chela, skąd jednak wzięłyby taką piękną doniczkę i kwiaty? Ponadto, jeśli zależy mu na zrobieniu jej przyjemności, to dlaczego nie przyszedł do szkoły? Nikt go nie widział od tygodni. Nigdy więcej nie pojawił się w domu doktora, który był niepokieszony. Wyrzucał sobie, że wypędził chłopca nie upewniwszy się, gdzie i z kim mieszka i co ma zamiar dalej robić.

Od czasu do czasu młoda nauczycielka pytała dzieci i dorosłych mieszkańców wioski, czy nie wiedzą, co się stało z

Chelem. Nie pojawił się w Dorfli nawet po jedzenie i nikt nie miał pojęcia, gdzie sypia. Dowiedziała się tylko, że gdy ojciec odumarał go przed laty, sześcioro wieśniaków ofiarowało się zapewnić mu utrzymanie i dach nad głową. Przebywał z nimi bardzo rzadko, przychodząc tylko od czasu do czasu na posiłek. Ostatnio jednak nie widziano go dość dawno. Nikt nie wiedział, co się z nim stało i większość pytanych mało to obchodziło.

Heidi była coraz bardziej niespokojna. Wieczorami klękała przy oknie, wpatrując się w dal, na góry i czując się w ten sposób bliżej Boga. Modliła się, by chronił Chela i skłonił go do powrotu.

Pewnego wieczoru, gdy dziadek położył się spać, Heidi stała przy oknie, wpatrując się w gwiazdy i księżycową poświatę otulającą wierzchołek Falknis.

W blasku księżyca było coś niepokojącego, wzbudzającego obawę. Nie było w nim tego przyjaznego ciepła, które daje słońce ani piękna różowego światła wieczorów. Księżycowa poświata zmieniała lodowce w połyskliwe zjawy, a szczeliny między nimi napełniła czarnymi cieniami. Heidi mimo woli zadrżała i już miała zamknąć okiennice, gdy usłyszała szybkie kroki przed domem i za chwilę stukanie do drzwi. Zeszła pospiesznie na dół i zapytała - kto tam?

- Proszę mnie wpuścić! - ktoś zawołał. - Mam nowiny!

Heidi otworzyła drzwi.

- Piotru! To ty? Co robisz o tej porze tutaj? - spytała z nagłą obawą. - Czy coś się stało z matką? Może z doktorem?

- Nic się nikomu nie stało - odparł uspokajająco. - Dowiedziałem się, gdzie podziewa się ten chłopiec i pomyślałem, że może chcesz tam pójść i zobaczyć.

- Dowiedziałeś się czegoś o Chelu? Opowiadaj Piotru!

- Nic nie mogę powiedzieć - odparł - ale mogę pokazać ci, dokąd on chodzi.

- Pokazać? Chcesz, żebym poszła tam teraz?

- Tak, jeśli zechcesz, możesz pójść teraz. Jest pełnia księżycy i z łatwością znajdę drogę.

- Nie Piotru, nie mogę wyjść tak po prostu w środku nocy - sprzeciwiła się dziewczyna. - Powiedz mi tylko, czy on jest bezpieczny.

- On nigdy nie był bezpieczny - uśmiechnął się Piotrek.

- A więc poczekaj do rana i wtedy pójde z tobą. Możesz spać tutaj. Teraz mamy dużo miejsca. Jutro, zaraz o świcie pójde dokąd zechcesz i możesz mi pokazać to, co masz do pokazania. A teraz dobranoc! - Z tymi słowami Heidi pobiegła do siebie na górę, pozostawiając chłopca samego. Tę noc spędził on w nowym łóżku, które dziadek wykonał z białych desek.

Gdy tylko wstało słońce, Piotrek zawołał Heidi, ale ona była już ubrana i gotowa do wyjścia.

- Chodźmy więc - powiedziała. - Mam nadzieję, że pamiętasz, dokąd obiecałeś mnie zaprowadzić.

- Naturalnie, pamiętam doskonale - odparł. - Wczoraj przeszedłem tę ścieżkę. Możemy ruszać?

- Wypij najpierw trochę mleka i zjedz kawałek chleba. Ja też coś zjem. Nie możemy wyjść bez śniadania. Kto wie, co się może zdarzyć - dodała z uśmiechem.

- Kto wie? - powtórzył Piotrek i też się uśmiechnął.

Dziadek, który wczoraj wieczorem wstał i ułożył gościa



do snu, teraz przywitał go serdecznie.

- Idziemy do górskiego kościoła - oznajmił chłopiec. - Nie będzie ci chyba nas brakowało Stryjku. Masz przecież do towarzystwa kozy, jodły i kościelne dzwony we wsi. Nie wykluczone, że kiedy wrócimy, będziesz miał jeszcze jednego gościa przy stole.

Wyruszyli w doskonałych nastrojach. Różowe obłoczki płynęły po niebie; jeszcze trochę i wszędzie słońce w całej swej krasie. Rosnące wzdłuż ścieżki jodły odcinały się ciemnymi sylwetkami na tle wschodzącej jasności i każda z nich była inna. Piotrek wybrał ścieżkę prowadzącą do grzbietu przełęczy. Wspinali się w milczeniu, a wszystko dokoła płonęło i migotało: kwiaty przy ścieżce, modrzewie na stoku, nawisy skalne nad ich głowami. Wszystko wydawało się odziane w odświętne stroje.

Wędrowali już ponad godzinę i dochodzili prawie do przełęczy. Nagle Piotrek zszedł ze ścieżki i skręcił w lewo na porośnięty drzewami stromy stok. Z brzegu lasku gęstwina wydawała się nieprzenikniona. Olbrzymie jodły rosły bardzo blisko siebie; tu i ówdzie leżały powalone pnie, a martwe, splątane gałęzie zagradzały drogę. Chłopiec przedzierał się, nie zważając na przeszkody. Przeskakiwał jak wiewiórka przez konary i spiętrzone drzewa.

Heidi zatrzymała się. - Piotrku, nie zdołamy tędy przejść - oświadczyła. - Musiałeś pomylić drogi.

- Niczego nie pomyliłem - odparł chłopak. - Popatrz, jak zaznaczyłem drzewa!

W tej chwili ujrzała świeże nacięcie na korze. Teraz uwierzyła, że nie błądzą.

- Chodź, możesz śmiało iść ze mną - zachęcał, podając jej rękę, by pomóc w pokonywaniu

przeszkód.

Wahała się przez moment, ale w końcu ujęła wyciągniętą dłoń i bezpiecznie wdrapała się wyżej. Prowadził ją za sobą przez zwarty gąszcz, czolgając się po starych, zmurszałych pniach, depcząc warstwy igliwia i suchych patyków. Cały czas z uwagą wypatrywał swoich znaków, wskazujących właściwą drogę. Ośłaniał dziewczynę i cierpliwie odgarniał na bok wszystkie przeszkody, aby łatwiej mogła nadażyć za nim. Wreszcie wyszli na polanę, pozostawiając za sobą gmatwaninę gałęzi, krzaków i korzeni.

Heidi nigdy nie miała przed oczyma piękniejszego widoku od tego, który rozciągał się przed nią. Zalana słońcem łąka pełna była przeróżnych kwiatów. Rosły tam czerwone pierwiosnki, bladioróżowe zawilce, słodko pachnące fiołki i cudownie błękitne gencjany. W niebo strzelały tuż przed nią ośnieżone górskie szczyty. W skalnych rozpadlinach lśniły olbrzymie lodowce wyglądające tak, jakby lada chwila miały się zsunąć w dolinę - jak wielkie rzeki zamarłe w bezruchu. Kwiaty mieniły się wszystkimi kolorami na tle lśniącego srebrzyście lodu i śniegu.

- Piotru! Piotru! Pamiętasz babcię i Jej pieśń o ogrodzie? - Ogarnięta radością Heidi z trudem znajdowała słowa. Wszystko zdawało się unosić przed jej oczami, skąpane w czarującym blasku poranka. Podbiegła do brzegu łąki i ogarnęła spojrzeniem całą dolinę aż po Mayenfeld. Jakież poszarpane i ostre były górskie szczyty! Lśniły jak ostrza nad przepaściami. Pochyliła się nad krawędzią, by sprawdzić, jak głęboki jest spadek i poczuła, że Piotrek ciągnie ją za sukienkę.

- Heidi, uważaj! Stąd właśnie spadła śnieżulka - zawołał.

- śnieżulka? A skąd ty o tym wiesz? Kto ci to powiedział?

- Chel - odparł chłopiec po prostu.

- Pewnie zaprzyjaźniłeś się z nim. Powinnaś się tego domyśleć. On jest taki podobny do ciebie.

- Mogłabyś także zaprzyjaźnić się z nim, gdybyś nie była nauczycielką. Lecz teraz chodźmy, jesteśmy już prawie na miejscu.

- Prawie? - zdumiała się Heidi. - Piotrusiu, dokąd mnie prowadzisz? - Ogarnął ją lęk. - Czy to ojciec pokazał Chelowi tę drogę? We wsi mówią, że był przemytnikiem. Czyż po tych skałach przeprawiał się z kontrabandą?

- Tamtędy nikt nie zdoła zejść - stwierdził Piotrek, wskazując skalny występ. - Ojciec Chela nigdy nie prowadził go tą drogą. Dzieciak znalazł ją sam. Nie powinnaś wierzyć wszystkiemu, co ludzie opowiadają we wsi.

- Wiem, że są pełni uprzedzeń i przesądów - zauważyła Heidi. - Wszystko, czego nie rozumieją, traktują podejrzliwie. Dlatego chcę, aby dzieci rosły i rozwijały się, rozumiejąc świat w większym stopniu niż ich rodzice. Tego pragnę ich nauczyć. Wytłumacz mi, dlaczego powiedziałaś, że mogłabym zaprzyjaźnić się z Chelem, gdybym nie była nauczycielką?

- On się ciebie boi - wyjaśnił Piotrek. - Chciał przyjść do szkoły po tym, jak okazałaś mu życzliwość. Któregoś dnia przyszedł i zobaczył, że okienko szatni jest wciąż zabite deskami. Zrozumiał więc, że nadal jest tu ciemnica i przestraszył się. Widzisz, on bardzo często nie wie, co dobre, a co złe, dopóki nie zostanie ukarany.

- Rozumiem - bardzo wolno powiedziała Heidi. Słowa Piotrka dały jej dużo do myślenia. - Muszę koniecznie zrobić coś z tym okienkiem - postanowiła. - Jutro pomówię o tym z kuratorem.

## XVI. Odkrycie talentu

### Rozdział XVI

#### Odkrycie talentu

Szli oboje ostrożnie wąską ścieżką po zboczu urwiska. Heidi mocno trzymała się jedną ręką dłoni Piotrka, a drugą krzaków i skarłowaciałych drzewek, wyrastających ze skalnych szczelin. Wreszcie dotarli do występu, wysuwającego się jak spory dach ze zbocza. Pod nim była już niewielka płaszczyzna, dość bezpieczna dla przechodzących.

Heidi spojrzała w dół, ku rozwierającej się u jej stóp przepaści i zadrżała. Kiedy odwróciła głowę, zobaczyła, że stoi przed wejściem do dużej jaskini.

- Piotrku, co to jest? - zaczęła, gdy jakiś głos zawołał.  
- Nie wolno ci tu wchodzić! To jest moje, słyszysz, to jest moje! Nie pozwolę ci tu wejść!

Był to Chel, który już schylał się, by podnieść z ziemi kamień. Piotrek jednak mocno chwycił go za ramię.

- Poczekaj no, chłopcze! - powiedział spokojnie i stanowczo. - Czy tak wita się gościa? Chciałem pokazać nauczycielce twoje schronienie, ale skoro tu jesteś, możesz zrobić to sam.

Oczy chłopca błyszczały dziko.

- Już ja jej pokażę! - zawołał. - Nie pozwolę zabrać swoich rzeczy!

- Chel, ona niczego ci nie zabierze!

- Ona jest nauczycielką!

- Tak - potwierdził Piotrek, patrząc na Heidi z dziwnym grymasem twarzy. - Mimo to dla mnie jest wciąż tą samą małą dziewczynką, która chodziła ze mną na hale. Ucieszy się tak samo jak ja, kiedy odkryjesz przed nią swój sekret.

- Ja sam znalazłem to miejsce - zachlipał malec. - Ono jest moje i nikt nie powinien mnie tu znaleźć.

- Dlaczego boisz się, że ktoś cię znajdzie? - zaciekała się Heidi. - Cóż możesz ukrywać tak wysoko?

Piotrek słysząc to, roześmiał się i chłopiec popatrzył na niego niepewnie.

- Pokaż jej Chel swoją tajemnicę. Przyszliśmy po to, by mogła ją zobaczyć.

- Nie zabierzesz mi niczego, jak nauczyciel? Pozwolisz zajmować się tym dalej? - upewniał się, prawie pogodzony z obecnością gościa.

- Nie zabiorę niczego, co należy do ciebie. Piotrek może zaświadczyć, że mówię prawdę.

- Więc wpuścisz nas do środka? - spytał Piotrek.

Chłopiec wahał się jeszcze chwilę, popatrzył na nich, a potem odsunął się na bok, pozwalając wejść do środka.

Światło słoneczne przenikało do jaskini na niewielką odległość od otworu, dalej wszystko było pogrążone w mroku. Przy wejściu stały prymitywne wykonane sprzęty - stół i ławka. Stół tworzyła nieheblowana deska, położona na czterech wbitych w ziemię podpórkach. Podobnie wykonano ławkę. Wszędzie dokoła pełno było pokruszonych kawałków wypalanej

gliny. Heidi musiała pochylić głowę, aby wejść do jaskini. Na zaproszenie Piotrka usiadła na ławeczce i rozejrzała się ciekawie. Zobaczyła kilka arkuszy papieru pokrytych malowidłami. Teraz dopiero zrozumiała, dlaczego leżało tu tyle skorup. Używano ich do rozrabiania farb. Kolory ich były wręcz zdumiewające - nigdy takich nie widziała! Przyjrzała się obrazkom.

- Co to jest? Kto to zrobił? - zapytała.

- Ja to zrobiłem - Chel mówił tak, jakby przyznawał się do winy.

- Ależ one są piękne! - wykrzyknęła zafascynowana tym, co ujrziała. Obraz przedstawiał białe róże i lilie rosnące na grobie. Bluszcz o zielono\_żółtej barwie owijał się wokół kwiatów i nagrobnej płyty. Heidi trwała w milczeniu, starając się przypomnieć sobie, gdzie już to widziała. Wreszcie rozpoznała w rysunku niemal dokładną kopię obrazu, wiszącego w domu doktora. Mimo dziwacznej kolorystyki, podobieństwo było uderzające. - Czy sam wszystko namalowałeś? Te róże, lilie, bluszcz? - pytała zdumiona.

Chel przytaknął z oczami utkwionymi w ziemię.

- Nie zabierzesz mi niczego i nie zabronisz malować? - odezwał się głosem pełnym niepokoju. - Piotrek obiecał, że tego nie zrobisz. Gniewasz się na mnie?

- Mój drogi chłopcze! Gniewać się na ciebie? Skądże znowu! Cieszę się ogromnie. Jak bardzo ucieszy się doktor, gdy się dowie o twoim wielkim talencie!

- A ja myślałem, że postępuję źle - wykrztusił Chel. - Nauczyciel mówił, że malowanie to zły uczynek. On... on zabrał mi moje rysunki i wsadził mnie do ciemnicy.

- Słyszysz? - wtrącił Piotrek.

- Słyszę - odparła dziewczyna.  
- Biedny, głupi nauczyciel! - e  
też nie zdołał rozpoznać  
talentu. Pewnie rysowałeś wtedy,  
gdy kazał robić ci coś innego,  
prawda Chel? To było właśnie  
przyczyną konfliktu. W mojej  
szkole są lekcje malowania i  
jeśli przyjdiesz, dostaniesz  
dobre farby i zobaczysz, jak  
będą wtedy wyglądały twoje  
kwiaty! Powiedz mi teraz, czy  
cały czas przebywałeś w tej  
jaskini? Spędzasz w niej noce?

W jednej chwili w wyrazie  
twarzy chłopca dokonana się  
zmiana. Odrzucił głowę do tyłu,  
już nie wyglądał jak zaszczute  
zwierzątko.

- Nie gniewasz się na mnie! -  
zawołał. - I dasz mi dobre  
farby! Moje kwiaty będą piękne!  
Chcę ci wszystko opowiedzieć.  
Ale od czego mam zacząć?

- Powiedz, co robiłeś i gdzie  
przebywałeś wtedy, gdy nie było  
cię przez wiele dni i nikt nic o  
tobie nie wiedział - podpowiadał  
mu Piotrek.

- Od dawna nie było przy mnie  
ojca, a matki prawie nie  
pamiętam - mówiło dziecko,  
wznosząc ufnie oczy. - Chodziłem  
razem z innymi chłopcami i  
często się kłóciliśmy i  
obrzucaliśmy kamieniami. Kiedy  
ja trafiłem któregoś, to zaraz  
krzyczał, że poskarży się ojcu.  
Potem jego ojciec przychodził i  
bił mnie. Ale kiedy oni we mnie  
rzucali, nie miałem się komu  
poskarżyć. Tak więc w końcu  
odchodziłem coraz dalej i dalej,  
aby nikt nie mógł mnie znaleźć.  
Im dalej szedłem, tym  
piękniejsze znajdowałem kwiaty.  
Chciałem je wszystkie zerwać.  
Zbierałem wielkie pęki, ale  
wieczorem więdły i traciły  
barwy. Pomyślałem więc sobie, że  
gdybym je namalował, wtedy  
byłyby ze mną zawsze. Zacząłem  
rysować kwiaty ołówkiem, który  
wziąłem ze szkoły. Papier miałem  
również stamtąd. Lecz nauczyciel  
nie miał farb i próbowałem  
zrobić je sam. Bez kolorów  
kwiaty nie wyglądały jak  
prawdziwe.

Heidi słuchała go z uwagą i zachwytem. - A Więc sam sporządziłeś te farby? To wspaniałe, Chel! Jak ci się udało?

- Początkowo rozgniatałem kwiaty - wyjaśnił - ale z płatkami nic mi nie wychodziło. Tylko je niszczyłem. Wtedy zacząłem gnieść czarne jagody i uzyskałem piękną czerwono-fioletową farbę. Później znalazłem w lesie małe czerwone jagody dające głęboką czerwień i wreszcie odkryłem kwiat, z którego zrobiłem żółty barwnik, a z liści zielony. Najtrudniej było zrobić pędzle. Używałem więc palców i łodyżek, ale to nie nadawało się, bo nie trzymała się ich farba.

- Chel - przerwał Piotrek, widząc, że pochłonęły go sprawy malowania - może opowiesz, dlaczego nie chodziłeś na posiłki do wsi, jak to ustalono po śmierci twego ojca?

- Byłem w kilku domach - zaczął chłopiec - ale wszędzie mnie łajano. Czasem, gdy zbierałem kwiaty na łące, spotykałem kozę i ona dawała mi mleko. Najbardziej lubiłem mleko śnieżulki. Znała mnie dobrze i zawsze przybiegała na mój widok. Pewnego dnia powiedziałem jej: "śnieżulko, przyniosę ci najlepszą trawę, jaką tylko znajdę na górze, a ty za to będziesz mi dawała mleko".

- Tego nie należało robić - stwierdził Piotrek. - Skoro ona należy do kuratora, to do niego należy również jej mleko. Nie można ubijać interesów z cudzymi kozami!

Chel okazał wielkie zdziwienie. - Ależ ja jej dawałem tyle smacznych rzeczy do jedzenia - bronił się. - adna koza nie była tak dobrze karmiona. Któregoś dnia, przedzierając się przez gęstwiny, dotarłem aż tutaj. Szukałem takiego miejsca, w którym mógłbym ukryć moje papiery i farby i skąd nikt nie



mógłby zabrać mi rysunków. Kiedy wyszedłem z lasu na polanę z tyloma pięknymi kwiatami, zacząłem biegać od jednego do drugiego. śnieżulka podskakiwała przy moim boku. Szła za mną całą drogę przez las i gęstwinę, taka jest sprytna. Powiedziałem jej, aby czekała na mnie, póki oglądam kwiaty, a potem pójdziemy narwać jej ulubionych ziół. Obejrzałem kwiaty i zebrałem duży bukiet dla kozy i wtedy zobaczyłem, że zniknęła. Wołałem i wołałem, aż usłyszałem w odpowiedzi słabe beczenie, takie jakim odpowiada na moje wołanie, Słyszałem głos, ale nigdzie jej nie widziałem. Patrzyłem na skały i tam jej nie było. W końcu odkryłem, że beczenie dochodzi spod wielkiego nawisu skalnego. Opuściłem się w dół na rękach i kolanach i odkryłem wejście do tej jaskini. śnieżulka pobekiwała, jakby chciała powiedzieć - widzisz, znalazłam dla ciebie piękną kryjówkę. Możesz tu schować swoje rzeczy i nikt ich nigdy nie znajdzie. To było to, czego szukałem. Byłem tu bezpieczny, spokojny i mogłem rysować. Zrobiłem sobie ten stół i ławkę. Kózka przychodziła do mnie często. Pewnego razu zamiast obejść skałę dokoła, próbowała zejść bezpośrednio nad jaskinią. Poślizgnęła się i spadła tak, że złamała nogę. Widzicie więc, że nie rzucałem kamieniami w nią. Kurator kłamie! Ale w niego rzuciłem, to prawda.

- To nie było właściwe - powiedziała Heidi. - Nigdy więcej tego nie rób.

- Zamkniesz mnie w ciemnicy, jeśli to zrobię?

- Nie zamykam dzieci w ciemnicy - oburzyła się Heidi.

- Ale ciemnica ciągle jest w szkole - upierał się Chel. - Wiem, bo widziałem, kiedy przyszedłem z kwiatami...

- Ach, Chel! - wykrzyknęła Heidi. - Nareszcie dowiedziałam się, kto przyniósł mi te piękne kwiaty. Tak bardzo się

cieszyłam. Teraz będę podwójnie szczęśliwa wiedząc, że to od ciebie. Pamiętałeś o mnie, chociaż nie wróciłeś do szkoły. Ale dlaczego? Czy tylko z obawy przed zamknięciem?

- Nigdy nie pójde do szkoły, w której jest ciemnica - oświadczył stanowczo Chel. - Nigdy! Jak długo będę żył!

- Dużo musiałeś w niej przesiedzieć - zauważył Piotrek. - Jak tam było i dlaczego nauczyciel tam cię wsadzał?

- Zamykał mnie tam za każdym razem, gdy przyłapał mnie na rysowaniu - wyjaśnił Chel. - Lecz moje obrazki podobały się żonie pastora. Była dla mnie bardzo dobra i kilka razy za rysunki dawała mi chleb. Czasem dostawałem od niej stare ubranie jej synka. Ta doniczka do fiołków to też od niej. Pastorowa starała się również, aby nauczyciel opuścił wioskę. Pewnie dlatego ty jesteś teraz w szkole - dodał, zwracając się do Heidi.

- Myślę, że tak - zgodziła się z nim dziewczyna. - ona pastora sama była kiedyś nauczycielką i jest bardzo dobrą kobietą.

- Teraz już tam nie chodzę - ciągnął Chel. - Raz niosłem jej kilka obrazków i zobaczyli mnie jacyś chłopcy. Pobiegli za mną i starali się odebrać mi rysunki. Powiedzieli, że ukradłem coś w sklepie. Wtedy złapałem jednego z nich i dałem mu pięścią w nos tak mocno, że stoczył się ze wzgórza. Upadł na skałę i zrobił sobie dziurę w głowie. To było wtedy, gdy wyszłaś przed szkołę, a ja potłukłem doniczkę. Później, kiedy kurator mnie oskarżył i broniłem się przed zamknięciem w ciemnicy, przyszłaś i uratowałaś mnie! Pomagałaś mi, więc postanowiłem ofiarować ci doniczkę, którą dostałem od pastorowej.

- Miałaś zamiar wrócić do szkoły, prawda? Tylko zobaczyłaś tę ciemnicę.

- Tak - przyznał Chel. - Lecz teraz nie możesz zmusić mnie do chodzenia do szkoły.

- Biedny Chel! - westchnęła Heidi, kładąc mu czule ręce na ramionach. - Nie będę próbowała cię zmuszać, ale powinieneś skończyć z dzikim życiem w lesie i tajemnymi wędrownkami po górach. Zamieszkaś z moim dziadkiem, który jest bardzo stary i czuje się samotny, bo ja cały dzień przebywam w szkole. Będzie rad z twego towarzystwa.

- Nie sądzisz, że lepiej będzie, jeśli pójdzie ze mną do wsi? - wtrącił Piotrek. - Przypadł doktorowi do serca, a jeśli dowie się o jego zdolnościach, zechce go kształcić tak jak ciebie. Lepiej zrobi, jeżeli wróci do wsi.

- Ale dziadek jest taki samotny...

- Doktor bardzo go lubi...

Chel patrzył na nich, zastanawiając się czy to nie sen, z którego za chwilę się obudzi. Do tej pory nikt go nie chciał i nie potrzebował. Traktowany był jak wyrzutek, obrzucany kamieniami, zamykany w ciemnicy. Prześladowany - żył życiem dzikusa i bał się wszystkich. Teraz otwierały się przed nim dwa domy. Tak cudowna odmiana losu wydawała się wprost nieprawdopodobna.

- Ale jeśli zamieszkać z doktorem, to czy będę mógł przychodzić czasami do jaskini?  
- zapytał Chel.

- Będziemy przychodzić tu często wszyscy razem - odparła Heidi. - Pokażę ci, jak postugiwać się farbami. Będiesz mógł namalować wszystkie piękne kwiaty na tej łące. Teraz musimy już wracać. Pokażesz mam drogę do domu?

- Mam zabrać swoje rzeczy? - spytał chłopiec, obejmując wzrokiem ubogie gospodarstwo.

- Weź tylko rysunki, aby je

pokazać doktorowi. Resztę zostaw, wszystko to może zaczekać na ciebie w tej twierdzy.

Chel zgarnął papiery i ruszył przodem, wskazując drogę na łąkę wzdłuż wąskiej półki skalnej. Zatrzymali się jeszcze przez chwilę, by popatrzeć na białe wierzchołki, lśniące piramidy śniegu i rozciągający się za nimi rajski ogród.

- Powinniśmy tu przyjść - powiedziała w końcu Heidi. - Miałeś rację Piotruku, że mnie tu przyprowadziłeś. Rozumiem, dlaczego dziadek pragnie mieszkać na swojej górze. Stokrotne dzięki za wspaniałą niespodziankę!

## XVII. Poruszenie we wsi

### Rozdział XVII

#### Poruszenie we wsi

Chel spędził noc w tym samym pokoju, w którym próbował przerysować białe kwiaty z obrazka. Tym razem, gdy wszedł doktor, nie próbował niczego ukrywać. Siedział zajęty kopiowaniem kwiatów na kawałku papieru do pakowania. Doktor dał mu czysty arkusz i dwa dobrze zaostrome ołówki, a potem zdjął obrazek ze ściany i ustawił przed chłopcem.

- No, teraz możesz pracować choćby cały dzień. Na razie nie musisz iść do szkoły. Zanim jednak zabrudzisz czysty papier, idź do studni z Brygidą, a ona pokaże ci, jak należy się myć.

Chel w milczeniu popatrzył na swoje nowe narzędzia pracy, coś

sobie przypomniał i powiedział:  
- dziękuję - po czym posłusznie  
pobiegł do studni.

Po lekcjach wpadła na chwilę  
Heidi, aby zobaczyć, jak się  
sprawy mają. Pozostała krótko,  
ponieważ pragnęła jak najprędzej  
porozmawiać z kuratorem. Kiedy  
doszła do jego domu, wychodził  
właśnie z obory.

- Jak się miewa śnieżulka? -  
zapytała nauczycielka.

- Jest w dobrym stanie, mimo  
że ma nogę w łupkach - odparł  
kurator. - Ach, co to za sprytna  
mała bestyjka. Jaka  
inteligentna! Zupełnie inna niż  
pozostałe. Za nic w świecie nie  
chciałbym się z nią rozstać.  
Odkąd złamała nogę, zauważyłem u  
niej zmianę, której nie mogę  
zrozumieć. Daje znacznie więcej  
mleka, ale nie jest ono takie  
jak poprzednie. Brak mu tego  
delikatnego, wspaniałego smaku.

Heidi uznała, że nie jest to  
właściwy moment do rozwiązania  
dręczącej kuratora zagadki. Dla  
niej sprawa była zupełnie jasna.  
Teraz jednak miała inne sprawy  
do omówienia.

- Doktor wziął Chela pod swoją  
opiekę i być może zechce go  
adoptować - zaczęła. - Przyszłam  
do pana z prośbą o dokonanie  
pewnych zmian w szkole, aby  
chłopiec nie bał się do niej  
przychodzić. To prosta rzecz -  
chodzi o usunięcie desek z okna  
w szatni i wstawienie na to  
miejsce szyby.

Kurator stanął jak wryty i  
patrzył na Heidi, jakby mówiła w  
obcym języku. Minęło kilka  
minut, zanim odzyskał głos.  
Kiedy się już odezwał,  
dziewczynę zdumiała gwałtowność  
jego wypowiedzi.

- Od początku istnienia tej  
szkoły mówiłem, że nie chcę, aby  
uczyła w niej kobieta. Ale nawet  
ja nie przypuszczałem, że  
dojdzie do czegoś podobnego! Czy  
myślisz, że zadałem sobie trud  
urządzenia ciemnicy tylko po to,  
aby teraz wszystko zniszczyć? I

z jakiego powodu? - eby najgorszy chłopak, włóczęga znany w całej okolicy nie bał się przyjść do szkoły! Jakiś nicpoń, który nie ma nic lepszego do roboty, jak dokuczanie zwierzętom? My mamy przygotować szkołę dla niego? Ach tak! Naturalnie, że tak! - Tak był wzburzony, kiedy mówił, że drżały mu ręce. Nienawiść i uprzedzenie tego człowieka wydały się Heidi niepojęte. Wszystko, czego potrzebował Chel, to trochę dobra i życzliwości.

- Nie będę się wypowiadała na temat Chela - oświadczyła. - Pan ma tak jednoznaczne opinie, że samymi słowami nie zdołam ich zmienić. Chłopiec sam pokaże, jaki jest naprawdę. Jeśli zaś chodzi o moją prośbę, to nie ma w niej nic nadzwyczajnego. W szkole jest ciemnica, a w całym Dorfli nie ma matki, która nie chciałaby zamienić jej na powrót w szatnię. Jeśli odmówi mi pan, to proszę poszukać kogoś innego na moje miejsce. Nie chcę ponosić odpowiedzialności za straszenie małych dzieci.

W tej chwili mała Nanni, która nie przepuściła ani słowa z rozmowy ojca z nauczycielką, pobiegła co sił w nogach do sąsiedniego domu.

- Germaine! Germaine! Chodź tutaj! Szybko! - wołała do swojej przyjaciółki, pomagającej matce w kuchni.

Germaine wybiegła, pospiesznie wycierając ręce w fartuch.

- Nauczycielka chce odejść! Co my zrobimy? - wykrztusiła podniecona Nanni.

- Co się stało? Czy nie jesteśmy posłuszne? Czy nie lubimy lekcji szycia i zajęć artystycznych? Dlaczego chce nas opuścić? - spytała Germaine.

- Bo mój ojciec zabił deskami okno w szatni! - krzyknęła Nanni i pobiegła do następnego domu.

Germaine także pospieszyła z tą tragiczną wieścią. Wieczorem

cała wieś wiedziała tylko, że Heidi chce odejść, ale nikt nie był pewien przyczyny. Jedno, co powtarzano dokoła to: "Dlatego, że kurator zabił deskami okno!"

Kiedy mieszkańcy wioski, mniej lub więcej dotknięci nowiną, uporali się z domowymi obowiązkami, zaczęli gromadzić się na drodze. Wreszcie skierowali się ku domowi kuratora. Gdy ten zobaczył wchodzących po zboczu ludzi, wyszedł im na spotkanie przekonany, że Chel wywołał znowu zamieszanie i wioska ruszyła przeciw niemu. Jednak to co usłyszał od wieśniaków, różniło się zasadniczo od jego wyobrażeń. Rozgniewane kobiety od razu go zaatakowały pytając, dlaczego to chce zwolnić Heidi z posady. Jeśli dziewczyna domaga się czegoś niezwykłego, to na pewno ma ku temu powody. One, matki, lepiej niż kto inny znają jej wartość i nigdy nie wyrażą zgody na zwolnienie takiej dobrej nauczycielki!

Tuż za kobietami zjawili się mężczyźni, by zobaczyć, co się dzieje. Ich opinie były takie same. Dlaczego pozwolić odejść komuś tak oddanemu swojej pracy? Odkąd Heidi zaczęła uczyć w szkole, wszystko we wsi zmienia się na lepsze. Samą szkołę trudno poznać, taka jest czysta i zadbana. Dzieci są schludne, grzeczne i rzadko się kłócą. Nie, oni również nie zgodzą się na jej odejście. A w ogóle - co to za okno, które zabito deskami?

Kiedy wreszcie dopuszczono kuratora do głosu, wyjaśnił, że cała sprawa jest prosta. Chodzi o wstawienie szyb i zrobienie szatni ze szkolnej celi więziennej. Jednak nie do przyjęcia jest postawa nauczycielki wobec tego chultaja Chela. Znalazł się on pod opieką doktora, namówionego oczywiście przez nią. Doktor podobno ma zamiar adoptować chłopaka!

Ze wszystkich stron rozległy się okrzyki zdziwienia. Mieszkańcy wioski myśleli, że

Heidi stawiała jakieś nierozsądne żądania. To zaś było nie tylko rozsądne, ale i sprawiedliwe. Jeśli chodzi o Chela to fakt, iż Heidi udało się go poskromić, świadczy, że dziewczyna ma charakter.

Wszyscy też ofiarowali swą pomoc przy zmianach w szkolnych pomieszczeniach. Kurator nie mógł uwierzyć własnym oczom i uszom.

- Ona jest w porządku, muszę przyznać, ale ten mały nicpoń! Jeszcze zobaczycie! Jeszcze zobaczycie! - mruczał gniewnie wracając do domu.

Po kilku tygodniach dzieci zobaczyły w klasie porządnie ubranego chłopca, rysującego przy małym, ustawionym pod oknem stoliku. Malował obraz mieniący się pięknymi kolorami i siedział z głową nisko pochyloną nad papierem.

- To musi być artysta - szepnęła jedna z dziewczynek cichutko, siadając na swoim miejscu.

Chłopiec był tak pochłonięty pracą, że nawet nie drgnął i klasa nie widziała jego twarzy. Nagle jednak bystrooka Germaine pochyliła się do ucha sąsiadki i szepnęła: - To jest Chel! Popatrz, załóżę się, o co chcesz, że to Chel!

- To niemożliwe - odparła Nanni. - Mój ojciec właśnie dzisiaj powiedział, że jeszcze się dowiemy, jakie to sztuczki wyprawiał, gdy nie przychodził do szkoły!

- Jednak to jest Chel - upierała się Germaine.

Po lekcji zatrzymała się i odwróciła właśnie w tej chwili, gdy chłopiec podniósł głowę. W lśniących trzewikach, białej koszuli i ubranku tak nowym, jak niedzielne stroje innych dzieci - siedział przy stoliku Chel! Rozpoznała go natychmiast, choć zmienił się bardzo, a zwłaszcza wyraz jego twarzy. Germaine raz



jeszcze obrzuciła nowego ucznia uważnym spojrzeniem i wybiegła na dwór.

Nikt dzisiaj nie zatrzymywał się po drodze. Wszystkie dzieci pędziły do domów tak prędko jak mogły, by podzielić się wielką nowiną.

Przez cztery tygodnie Chel płonął entuzjazmem, pracował niemal bez przerwy pod opieką i kierunkiem doktora. Zrobił tak znaczne postępy, że nawet Heidi i Piotrek, którzy w niego bardzo wierzyli, byli zdumieni. Doktor trzymał go z dala od innych dzieci, bo chciał przede wszystkim poobserwować i lepiej poznać chłopca. Ponadto pragnął, aby nic nie pozostało z dawnego Chela i pojawił się nowy, odmieniony.

Heidi kilkakrotnie chodziła z nim do jaskini. Pomagała mu rysować alpejskie kwiaty rosnące na polanie, którą oboje z Piotrkim postanowili nazwać "zaczarowanym ogrodem". Gdy wspólnie pracowali, oczy dziecka promieniały szczęściem. Mógł malować, ile dusza zapagnie bez ukrywania się. Nie potrzebował też sam wyrabiać farb i pędzelków. Heidi chwaliła go i powtarzała, że jeśli będzie robił takie postępy, niewątpliwie zostanie wielkim artystą. W takich chwilach serce Chela przepęłniała radość. Lecz od czasu do czasu jakiś cień przesłaniał rozpromienione oczy i na twarzy pojawiał się wyraz strachu. Na pytania nauczycielki odpowiadał, że to nic takiego i uśmiechał się z wysiłkiem.

Po bliższym przyjrzeniu się jednemu z rysunków, Heidi zauważyła:

- Bardzo mi się to podoba, ale dlaczego kwiaty mają inny odcień różowego niż te na obrazie, które kopiujesz?

- Znam bardzo dobrze te kwiaty - odparł pośpiesznie Chel. - One mają taki właśnie kolor. Często im się przypatrywałem, rosną bowiem blisko jaskini. Jest ich

tam mnóstwo.

Heidi uśmiechnęła się. - A więc słusznie postąpiłeś, malując je w ten sposób. To, że tak dobrze znasz kwiaty, pomoże ci w pracy. Muszę powiedzieć o tym doktorowi.

Na wzmiankę o doktorze promienna twarzyczka Chela powlekła się smutkiem.

- Co się stało? - zapytała Heidi. - Chyba nie masz nic przeciw temu, abym powiedziała doktorowi o twojej znajomości kwiatów?

- Nie. Och nie! To nie to - wybuchnął chłopiec, odwracając głowę.

- A więc co? Powiedz mi wreszcie, co cię gnębi?

- Za każdym razem kiedy czuję się szczęśliwy, tak szczęśliwy, że chce mi się płakać z radości, w oczach pojawia mi się straszny obraz. Doktor mnie opuszcza, albo znowu mówi, że jestem wolny. Wtedy pozostaję sam, zupełnie sam; zmuszony rzucać kamieniami we własnej obronie i ukrywać się gdzieś daleko, by móc malować. Potem, któregoś dnia dopada mnie kurator, bije mnie i nie ma nikogo, kto by mi pomógł. Bo ja jestem niczyj, jestem niczyj! No i wtedy koniec wszystkiego! - powiedział chłopiec z prawdziwą rozpaczą.

- Chel! - wykrzyknęła Heidi, biorąc go za rękę. - Nie powinienes tak myśleć! Należysz do doktora. Przyjął cię na zawsze i chce być dla ciebie ojcem. Wiesz przecież, że dziecko należy do ojca?

- No tak - odrzekł Chel z powątpiewaniem - ale czy jesteś pewna?

- Chodźmy teraz do domu - powiedziała - i doktor sam ci to powie. Potem już będziesz zupełnie pewny i przestaniesz się martwić.

Gdy wrócili do domu, doktor

przekonał Chela, że Heidi powiedziała mu prawdę. Chłopiec ujął wyciągniętą ku sobie życzliwą dłoń i uścisnął tak, jakby nigdy nie miał zamiaru jej wypuścić. Potem otarł łzy i uśmiechnął się.

- Jeśli teraz ktoś zechce mi zrobić krzywdę, to ja też mogę powiedzieć: "Poskarżę się mojemu ojcu". Czy nigdy mnie pan nie opuści? - zapytał.

Doktor objął go czule i jeszcze raz powtórzył, że od tej chwili jest jego synkiem i będzie z nim mieszkał całe życie.

## XVIII. Chel płaca długi

### Rozdział XVIII

#### Chel płaca długi

Przemiana, która dokonana się w Chelu, dała mieszkańcom wioski temat do rozmów na długi czas. Poza tym Heidi przypisali zasługi za wszystko dobre, co się wydarzyło w Dorfli i okolicy. Wszyscy uważali, że najgorszym dla nich wydarzeniem byłoby odejście jej ze szkoły. Nawet kurator był o tym przekonany.

Do końca następnej jesieni wszystko szło jak z płatka. Chel siedział w klasie i milcząc pracował razem z innymi dziećmi. Heidi mogła tak łatwo obserwować, jak rysuje. Pomimo wszystko pozostawał z boku dziecięcej gromadki i stał się bardzo zamknięty w sobie. Ale był pilnym uczniem w innych poza rysunkami szkolnych przedmiotach i niebawem wyprzedził wielu tych, którzy go wyszydiali i

drażnili.

Najszczęśliwszą porą dla Chela był wieczór. Doktor siadał wtedy przy nim i czytał mu książki, podczas gdy chłopiec malował. Zwykle były to historie biednych chłopców, takich jak on, którzy stawali się wielcy i sławni. Doktor opowiadał mu o szkołach w Lozannie i Paryżu, gdzie profesorowie uczą rysunku i malarstwa.

W niedziele odkładał chłopiec książki na bok i często po nabożeństwie szedł z opiekunem na górską polanę, gdzie ciągle jeszcze kwitły wytrwale kwiaty.

Heidi i Piotrek byli jedynymi, którzy wiedzieli o celu tych wypraw. Mieszkańcy wioski na widok tej pary mówili zdziwieni:  
- Jak to się stało, że taki mały włóczęga stał się najbardziej schludnym i grzecznym chłopcem w okolicy.

Jeszcze jedno stworzenie wiedziało o pięknym ogrodzie wysoko w górach i przychodziło tam bardzo często, lekko utykając, by przytulić się do Chela. Była to śnieżulka. Chłopiec nie zapomniał, gdzie można znaleźć smakowitą trawę i zioła, które tak bardzo lubiła.

Kochał tę starą kozę jak drogiego przyjaciela. Gdy byli na hali Heidi i Piotrek, koza dzieliła swą sympatię jednakowo między ich troje.

Pod koniec zimy doktor wysłał do znajomego profesora we Frankfurcie list następującej treści:

"Drogi Profesorze!

Jakiś czas temu pytał mnie Pan, czy słyszałem o kimś, kto zna dobrze rzadkie kwiaty rosnące w Alpach i byłby na tyle dobrym artystą, aby zrobić ilustracje do Pańskiego podręcznika botaniki. Jeśli nadal szuka Pan takiej osoby, to mogę polecić mego przybranego

syna, który posiada potrzebne kwalifikacje. Ma nie tylko głęboką wiedzę o kwiatach ale i autentyczny talent malarski. Będę z przyjemnością oczekiwać Pańskiej odpowiedzi.

Tymczasem zaś pozostaję

szczerze Panu oddany

Wiktor Reboux"

Kilka dni później przyszła odpowiedź. Tak więc wczesną wiosną, gdy tylko pojawiły się pierwsze kwiaty, doktor wysłał Chela, by zebrał najdoskonalsze egzemplarze każdej odmiany. Umieścił je w szklanym naczyniu i kazał mu narysować je najlepiej, jak potrafi.

Czasem w tych wyprawach towarzyszyli mu Heidi i Piotrek. Razem zbierali piękne bukiety i Chel nie mógł zdecydować, które chwile były dla niego najszcześniejsze. Czy te, kiedy pracował pod kierunkiem doktora, czy te spędzone na łące nie będącej już kryjówką i schronieniem, lecz kochanym i znanym ogrodem. Często miał ochotę rzucić się na ziemię i wziąć w ramiona wszystkie rosnące tu kwiaty.

Dla Heidi te wędrowki były korzystną odmianą po rutynie szkolnych zajęć. Wracała stamtąd odświeżona i wypoczęta, a także bliska czasom dzieciństwa, kiedy chodzili z Piotrkim na pastwiska.

Niemal zawsze szła za nimi śnieżulka. Sprytna kózka szybko zauważyła, że Chel idzie codziennie w góry. Nie przepuściła okazji, by przebywać z nim aż do powrotu do domu i przyjąc z jego ręki ulubione zioła. Piotrek wyjaśnił wszystko Antosiovi i gdy z dala pojawiała się wioska, Chel zęgnął się z ulubienicą.

- Wracaj do swego pasterza  
śnieżulko - mówił do niej. -  
Będzie lepiej, gdy zobaczą cię  
wracającą ze stadem.

Pewnego wieczoru, gdy Chel  
wrócił z wyprawy, doktor wręczył  
mu paczuszkę.

- Chłopcze - zwrócił się do  
niego - już nie potrzebujesz  
mojej pomocy. To zapłata za  
świetną pracę. Wszystko należy  
do ciebie - i pokazał mu  
znajdujące się w kopercie  
pieniądze.

Chel zdziwił się tak bardzo,  
że stracił mowę. Lecz nagle na  
jego twarzy pojawił się wyraz  
smutku i lęku, a chłopiec  
odwrócił się od stołu.

- Jak to, nie cieszysz się? To  
twoje pierwsze honorarium! -  
zawołał doktor.

- Pan już nie chce, żebym tu  
dalej mieszkał, kiedy zacząłem  
zarabiać - powiedział Chel. -  
Jeśli tak jest, to ja nie chcę  
tych pieniędzy.

- Nie zrozumiałeś mnie -  
odparł doktor. - Myślałem tylko,  
że nikt we wsi nie sądził, abyś  
potrafił pracować i zarabiać na  
życie. Teraz wszyscy zobaczą, co  
potrafisz! Profesor jest tak  
zadowolony z twojej pracy, że  
proponuje ci kontynuowanie  
ilustracji jego książek. Po  
pierwszym tomie będą inne, a za  
każde nowe wydanie też ci  
zapłacą. Zobaczysz! Im  
doskonalsza będzie twoja praca,  
tym więcej będziesz jej miał.  
Jestem bardzo szczęśliwy!

- To należy do pana i  
nauczycielki - stwierdził  
chłopiec, wskazując pieniądze. -  
Nauczycieliście mnie wszystkiego,  
co umiem.

- Ależ nie! To była twoja  
praca. ~ adne z nas nie chce  
twoich pieniędzy. Odłóż je na  
razie, dopóki nie będą ci  
potrzebne. Może jest coś, na co  
chciałbyś je przeznaczyć?

- Tak. Jest coś - odpowiedział Chel.

- Ile ci potrzeba?

Pomyślał chwilę i oznajmił: - Potrzebuję sześć takich banknotów.

Doktor ze zdziwieniem popatrzył na chłopca, ale miał do niego zaufanie i postanowił dać mu tyle pieniędzy, ile sobie życzy.

Chel wziął banknoty i wyszedł. Nie poszedł daleko - tylko do małego domku na skraju wsi. Tam, w głównym pokoju położył na stole jeden banknot i zawołał: "Zapłacone!"

Biegał po wsi, aż odwiedził wszystkie sześć domów, w których kiedyś jadał i sypiał. W każdym robił to samo. Gdy oddał dług w szóstym domu, zawołał: "Zapłacone całej wiosce!"

Bo Chel nigdy nie zapomniał tego dnia, kiedy mu powiedziano, że jest ciężarem dla wsi - takim nicponiem, który nie potrafi docenić dobrego jedzenia i łóżka!

XIX. Nagroda dla Heidi

Rozdział XIX

Nagroda dla Heidi

Mieszkańcy Dorfli burzliwie komentowali fakt, że Chel nie tylko zarobił pieniądze, ale pierwszą jego myślą był zwrot czegoś, czego nawet nie uważali za dług. Ten spisany na straty nicpoń i ladaco, zdobył wreszcie szacunek wioski. Całą zasługę ucywilizowania małego włóczęgi

przypisano Heidi. Nikt nie chciał brać pod uwagę jej odejścia ze szkoły.

- Widzisz, co narobiłaś - strofował ją Piotrek, gdy wspinali się wąską ścieżką do domu dziadka. - Doprowadziłaś do tego, że uznano cię za osobę niezastąpioną. Nie pozwolą ci zostawić szkoły, a kiedy Stryjek będzie niedołączny, jak sobie poradzi sam?

- Już o tym myślałam - odparła Heidi, wzdychając. - Staram się, jak mogę, żeby wszyscy byli zadowoleni i to jest właśnie moja nagroda.

- Cóż, zawsze chciałaś uczyć dzieci.

- Tak. Lecz widzisz, teraz już nie jestem tego taka pewna - wyznała dziewczyna. - Czasami czuję się w klasie przytłoczona, tak jak ty w domu doktora. Wtedy gorąco pragnę przebywać cały dzień na górze, gdzie widzę dolinę i czuję się wolna. Poza tym dziadek mnie potrzebuje. Często powtarza mi, że się starzeje i prosi, bym się z nim modliła. Wczoraj powiedział, że to będzie jego ostatnia zima i w oczach miał coś takiego... Przestraszyłam się, Piotruku. Spogląda tak, jakby widział coś poza nami; zupełnie jak babka, gdy zaczęła tęsknić do swego zaczarowanego ogrodu. Nie zniosę tego, jeśli on umrze! - krzyknęła w nagłej udręce. - Zostanę wtedy zupełnie sama. Nie, jesienią już nie pójdę do szkoły. Nie obchodzi mnie, co powie kurator, ja nie mogę wrócić do pracy.

- Kto więc zajmie twoje miejsce?

- Napiszę do Jamy - odparła Heidi. - Jej się bardzo tutaj podobało. Chciała spędzić u nas wakacje, więc napiszę i zapytam, czy zechce przyjechać i uczyć w szkole.

Jamy ucieszyła się ogromnie z zaproszenia. Po przyjeździe zastała dom na hali pogrążony w



smutku. Dziadek był bardzo chory. Tłumaczył wprawdzie, że to tylko starość, ale było widoczne, że bardzo cierpi. Ciągłe przywoływał do siebie Heidi.

- Jestem przy tobie, dziadku - powtarzała za każdym razem. Gdy się upewnił co do tego, zaczął wołać Piotrka.

Jamy weszła do pokoju i ujęła rękę chorego. Głos miała ciepły i współczujący.

- Ja też jestem tutaj - powiedziała - i Heidi nie musi pana zostawić. Przyjechałam uczyć dzieci, więc nie pozostanie pan teraz sam.

- To nie ma znaczenia - odparł dziadek. - Heidi zostanie sama, kiedy mnie zabraknie. Kto zamieszka w moim domu? Kto zatroszczy się o Białąskę i Burąskę. Powiedz Heidi, żeby tu przyszła. Heidi! Heidi!

- Jestem tu - odpowiedziała jak zwykle. - Jestem tu przy tobie razem z Jamy. Nie odejdę stąd.

Dziadek opadł na poduszki, westchnął i wziął wnuczkę za rękę.

- Przeczytaj mi jakieś psalmy - poprosił. - Te, które czytałaś niewidomej babce. Niech Jamy je przyniesie, są gdzieś u Piotrka.

Książka z psalmami została przyniesiona, przyszedł również Piotrek. Usiadł przy łóżku i słuchał skupiony, jak Heidi czyta łagodnym głosem:

"Troski i smutki@ niech skończą się jutro,@ wzburzone morza@ niech cisza ukoi;@ szalone wichry cichną i pojawia się słońce."@

Heidi przerwała na chwilę i zdawało się, że wiatr szumiący w gałęziach umilkł wraz z nią. Na twarzy dziadka malował się spokój i zadowolenie.

- Czy ból trochę ustąpił? -

zatroszczyła się.

- Tak, tak - odrzekł. - Nic mnie nie boli. Czytaj dalej. Ten psalm jest dłuższy.

Łzy napłynęły do oczu dziewczyny, gdy przeczytała:

"I tak pełnia spoczynku@ wraz z błogosławioną ciszą,@ czekają tam na mnie@ w tym ogrodzie najpiękniejszym z pięknych,@ w tym domu, ku któremu mój duch stale tęskni."@

Po odczytaniu ostatnich słów psalmu, w pokoju nastąpiła cisza. Słychać było tylko oddech dziadka i szum jodeł za oknem.

Czy to prawda, myślała Heidi, że gdy ludzie są już starzy, to zaczynają tęsknić do miejsc wysoko położonych? Czy dziadek tęskni za tym ogrodem niebieskim, tak jak ona i Piotrek tęsknią za górami. Gdy są we wsi, to wszystko wydaje im się ciasne i szczelnie zamknięte.

- A teraz zagraj mi - odezwał się głucho dziadek. - Niech usłyszę, jak grasz ten psalm na skrzypcach.

Heidi posłusznie wzięła do rąk skrzypce, a melodia drżała i łkała. Była w niej tęsknota i oczekiwanie. Tęsknota za życiem tak wielką, że niemal ją dławiła, gdy spoglądała na górskie szczyty, a one nagle płonęły w ogniu zachodzącego słońca. Była w tej melodii również tęsknota dziadka i niespokojny duch Piotrka. Nagle Piotrek wstał. - Wyjdę na chwilę na dwór - powiedział. - Muszę coś przemyśleć.

Heidi spostrzegła, że chciał pobyć sam, więc tylko skinęła głową i odłożyła skrzypce. Oczy dziadka pozostawały zamknięte - zasnął, nie czując bólu.

- Muzyka uspokoiła go - powiedziała Jamy. - Kiedy się obudzi, może uda się nam namówić go na trochę mleka.

Była już północ, gdy dziadek  
obudził się i dziewczęta  
przyniosły mu mleko.

- Gdzie jest Piotrek? -  
zapytał z oczami utkwionymi w  
Heidi.

- Wyszedł na dwór pomyśleć -  
odpowiedziała. - Wiesz, dziadku,  
zdaje mi się, że coś go trapi.  
Czy czujesz się trochę lepiej?

- A więc coś go trapi,  
powiadasz? Tak, tak - odrzekł  
starzec. - Czuję się znacznie  
lepiej. Już najwyższy czas, żeby  
chłopaka zaczęło coś trapić.

Następnego ranka, kiedy  
Piotrek zupełnie nieoczekiwanie  
spytał Heidi, czy wyjdzie za  
niego za mąż, ta wykrzyknęła  
zdumiona: - Piotрку, sądzę, że  
to była ta rzecz, której  
pragnęłam. To był powód, dla  
którego chciałam pozostać w  
Dorfli,

Postanowili urządzić  
tradycyjne wesele "na drodze",  
tak aby każdy we wsi mógł wziąć  
udział w tej pięknej ceremonii.  
Kiedy zawiadomili o tym dziadka,  
staruszkowi rozbłysły oczy.

- Musisz wyzdrowieć do wesela  
- przykazywała mu Heidi. - Teraz  
już nie masz powodu do  
zmartwień. Piotrek będzie się o  
mnie troszczył, tak jak to ty  
robiłeś dotąd. Oboje zaś zadbamy  
o ciebie, najlepiej jak  
potrafimy. Zaopiekujemy się  
także kozami, bo chcemy  
zamieszkać tu w tym domu, skąd  
zawsze widać góry. Dziadku,  
będziemy tacy szczęśliwi - ty,  
Piotrek i ja. Tylko bardzo cię  
proszę, popraw się do wesela!

- O tak - powiedział dziadek.  
- Poprawię się. Założę moje  
zielone, odświętne ubranie i  
pomaszuję razem ze wszystkimi.  
Jakże bym mógł nie być obecny na  
ślubie mojej dziewczynki? O nie,  
za nic na świecie! Oczywiście,  
moja Heidi, twój dziadek poprawi  
się do wesela.

Tak jak to obiecał, dziadek  
wstał po tygodniu z łóżka.

Skosił trawę na łące, zbierał  
drzewo i krzątał się po domu,  
żwawy jak dawniej. Heidi  
cieszyła się z tego ogromnie.  
Nic już nie mogło popsuć radości  
i piękna weselnego dnia.

Na uroczystość przyjechała  
Klara - Klara, którą Heidi z  
trudem rozpoznała w dostojnej  
damie. Jamy wezwała swoją  
młodszą siostrę, o której tak  
czule opowiadała, gdy były razem  
z Heidi w szkole. Siostra miała  
uczestniczyć w ślubnym orszaku,  
niosąc wiązkę pszenicy.

Dorfli słynęło ze swych  
małowniczych zwyczajów. W dniu  
zaślubin kobiety i mężczyźni  
ubrali się w najlepsze stroje.  
Wszędzie mieniły się barwne  
szale, haftowane różnymi  
odcieniami różu, złota i  
błękitu. Brygida miała na sobie  
czerwono\_fioletowy szal, a pod  
nim sztywno ukrochmaloną białą  
bluzkę z bufiastymi rękawami.  
Obok niej szedł doktor w czarnym  
tużurku i białej koszuli ze  
sztywnym kołnierzykiem. Chel  
wystąpił w wysokim czerwonym  
kapeluszu z orlim piórem.

Orszak weselny poprzedzała  
orkiestra. Muzykanci grali na  
fletach, fujarkach i  
starodawnych lutniach. Orkiestrę  
prowadził harmonista w czerwonym  
serdaku.

Za nimi szła panna młoda z  
policzkami różowymi ze  
szczęścia. Miała na sobie suknię  
ślubną z prawdziwego jedwabiu.  
Wianek z krótkim welonem był jej  
własnym dziełem. Zrobiła go z  
kwiatów rosnących w  
"zaczarowanym ogrodzie". Obok  
niej szedł Piotrek wyprostowany  
i przepelniony dumą. Tuż za  
młodą parą dziadek maszerował  
tak dziarsko jak pozostali  
weselnicy.

Jamy prowadziła uczniów ze  
szkoły w Dorfli śpiewających  
piękne, stare, ludowe pieśni.

Jakież to było barwne  
widowisko! Jak radośnie brzmiała  
muzyka. Tej radosnej nuty nie  
stłumiły nawet uroczyste

kościelne obrzędy. To był niezapomniany dzień. Heidi była rada, że pozostała wierna swej małej społeczności i wróciła do Dorfli i do Piotrka. Przypomniała sobie jeszcze jeden oryginalny weselny zwyczaj i pochyliła się, aby zdjąć bucik.

Dokoła dzieci rzucały kwiatami. Heidi wzięła bucik i starannie mierząc cisnęła go w tłum. Upadł u stóp Chela i wszyscy zaczęli krzyżeć: "Powodzenia Chel! Powodzenia w malowaniu!"

- Dziękuję ci Heidi! - zawołał chłopiec - za to, że rzuciłaś we mnie szczęśliwym bukiem!

Orszak weselny przeszedł główną ulicą do centralnego placu wioski, gdzie ustawiono stoły. Muzykanci grali nieustrudzenie. Tańczono i śpiewano do późnej nocy.

Heidi i Piotrek wymknęli się wcześniej. W dniu swego ślubu nie chcieli zrezygnować z możliwości oglądania zachodu słońca, gdy śniegi na szczytach zapalają się purpurowym blaskiem. Patrzyli razem z dziadkiem, a kiedy zgasł ostatni słoneczny blask, staruszek powiedział: - Widzisz, Heidi, ono blednie tylko po to, aby pojawić się znowu jutro.

- To prawda - dodał Piotrek. - Ale ile by razy nie powracało, to nigdy nie będzie dnia szczęśliwszego niż dzisiaj.